



Zbigniew Czarnuch

Jubileusz Gorzowa a globus belfra ze Sternberga

Chodzi o Sternberg w Meklemburgii, a nie o ten nasz, z prawobrzeżnej, historycznej, pisanej z małej litery ziemi lubuskiej, czyli Torzym. Ale po kolei.

Mamy za sobą piękną inaugurację obchodów jubileuszowych Landsberga / Gorzowa. Schylam z szacunkiem głowę przed prezydentem Tadeuszem Jędrzejczakiem i jego współpracownikami, którzy tak uczciwie i zarazem dalekowzrocznie, z rozważą i spokojem, w okresie rozhuśtania kolejnej ogólnonarodowej antyziomkowskiej histerii, demonstrowali swą cywilną odwagę i przy wtórze głębokich tonów dzwonu pokoju, koronowali kolejny rozdział trudnego, około 35 lat trwającego procesu szukania dróg ku sobie landsberczan i gorzowian.

Schylam także głowę, by wyrazić respekt mieszkańcom miasta, z których żaden nie zademonstrował swej akceptacji dla warszawskiej, przeciw Niemcom zaaranżowanej hecy i nie zakłócił świętowania radości ze znalezienia wzajemnego zaufania obecnych mieszkańców miasta do tych, którzy byli tu przed nimi. Zaufania opartego na wspólności uczuć do tego samego miejsca, na fenomenie domów, które połączyły ludzi z tak dramatycznymi przypadkami losu. Ludzi, których było stać, by wznieść się ponad uczucie zemsty i odwetu. Śledziłem uważnie doniesienia mediów na temat obchodu jubileuszu, wypytywałem uczestników imprez i nie jest mi znany żaden przypadek zakłócenia pięknej chwili wspólnego radowania się ze znalezienia do siebie normalnej ludzkiej drogi szacunku i wzajemnego zrozumienia.

Nawet Młodzież Wszechpolska, dająca o sobie znać podczas spotkań w Bibliotece przy ul. Sikorskiego, a także dawni bojownicy w wojnie ze Śfinsterem, ugięli się przed powagą zdarzenia. I umilkli. Nawet lokalni przedstawiciele i sympatycy



ciąg dalszy na str. 2

Józef Baran

Światy w kropli

Na wstępie zakładam, że prowincjonalność to cecha umysłu polegająca na odbijaniu światła od innych, powielaniu wzorów artystycznych. W tym sensie prowincjuszem artystycznym może być ktoś mieszkający w Nowym Jorku, Paryżu czy Warszawie – kogo nie stać na mówienie własnym głosem, na wypowiedź osobistą, czyli oryginalność. Ten ktoś może znakomicie powielać Miłosza, Herberta, Enzensbergera, Eliota, Celana czy np. Ginsberga. Może świetnie funkcjonować w życiu literackim stolicy, czyli w centrum, zadawać szyku elokwencją, erudycją, lecz mimo to być stuprocentowym prowincjuszem, uczonym grafomanem. Nie wnosić nic do literatury. Cechuje go swoista prowincjonalność myślenia, drugorzędność, powtarzalność sprawdzonych wzorów. Od pisarzy – papug roi się dziś – tak jak i zresztą zawsze roiło się – w literaturze. Z czego to wynika. Najprościej odpowiadając – z braku talentu...

* * *

Wypada się też chyba zgodzić, że artystą pierwszorzędym może być ktoś mieszkający na peryferiach, w jakimś Drohobyczu, w jakiejś Lisiej Dziurze, w Czarnolesie czy Soplicowie – gdzie – o dziwo! znajdują się rzeczywiście historyczne stolice polskiej literatury. Bowiem miejsca, w którym zaistnieje wielki, pierwszorzędny talent, czy to będzie mała wieś zabita dechami, czy miasteczko z jedną krzywą uliczką i kulawym psem – pod dotknięciem pióra, klawisza, pędzla utalentowanego artysty – jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki – stają się miejscami centralnymi, miejscami uniwersalnymi. To, co lokalne, nabiera cech uniwersalnych. Mógłbym tu przywoływać setki nazwisk: Chagalla, Chopina, Reymonta, Kochanowskiego, Mickiewicza, Markqueza, Faulknera, czy Brunona Schulza. Z pisarzy polskich ostatniej dekady – także w jakimś sensie Czesława Miłosza i w całości Tadeusza Nowaka, Edwarda Redlińskiego, Jerzego Harasymowicza, Wiesława Myślińskiego; a z młodszych np. Adama Ziemanina. Wbrew pozorom pisarzem bardzo zakorzenionym w peryferyjnej przestrzeni jest Miron Białoszewski, który potrafi napisać mikropowieść o malutkim

ciąg dalszy na str. 3 i 4

dokończenie ze str. 1

tycy przewodniej siły narodu, której czołowi przywódcy podczas pobytu w Gorzowie, jeszcze tak niedawno pohukiwali i przestrzegali nas przed siwymi przybyszami zza Odry, według ich zdania wałęsającymi się w podejrzanych celach po naszych drogach w swych autokarach i samochodach – wstydzieli się ujawnić z poparciem takich poglądów. A przecież przez kraj przewalała się właśnie polityczno-medialna burza i wszystko przemawiało za tym, że także i tu, skąd dopiero co wylądował w stolicy „gorzowski desant”, zdarzyć się może wszystko. Nie zdarzyło się! I to umacnia mnie w wierze w możliwość istnienia lepszego świata.

Zatem powinienem się cieszyć i nie zakłócać panującego w Gorzowie ciepłego jubileuszowego klimatu. Tymczasem, gdy myślę o tym co zdarzyło się w mieście nad Wartą, wciąż wchodzi mi do łba ów belfer ze Sternberga.

A z nim było tak. Do szkoły, w której uczył przybył wizytator. Była lekcja geografii. Temat: Sternberg. Wizytator przegląda dziennik i widzi, że nauczanie tego przedmiotu pozbawione tak zwanych pomocy naukowych, ogranicza się tylko do tego miasteczka i jego okolic. W podsumowaniu wizytacji zalecił, by nauczyciel kupił globus i uczył o wszystkim, co na nim się znajduje. Belfer pojechał do dużego miasta, by zaleconą pomoc poglądową zakupić. Gdy sprzedawca mu pokazał mapę świata w formie kuli, spytał, co się na niej znajduje. Ten mu odpowiedział, że Ameryka, Afryka, Australia. - To moim dzieciom niepotrzebne - powiedział klient. - Nie masz pan globusa Sternberga?

Wiem, że jestem tutaj złośliwy, ale żał mi, że zaprzeczono taką szansę, by Gorzów, po raz kolejny, wyrwał się ze swego prowincjonalnego horyzontu meklemburskiego Sternberga lub horyzontu „Posemuckel”, jak powiadali Niemcy, śmiejąc się z prowincjonalizmu i parafianśszczyzny Wschodnich Prusaków. Posemuckel to nasze Podmokle na Babimojszczyźnie. Gorzowianie swymi kontaktami z landsberczykami wybili się w Polsce na pozycję przodowania w tym wspaniałym dziele. Była więc szansa pokazania Polsce i Europie, że nie wszyscy jeszcze w tym kraju zbzikowali na punkcie wypędzonych. Nie powinno się więc z tą sprawą zamykać w obrębie murów miasta. Zobowiązywać powinno władze, by Gorzów stał się bastionem i ostoją tych, którzy na Ziemiach Zachodnich i Północnych podążają samotnie w tym samym – jedynym sensownym w jednoczącej się Europie – kierunku. Zwłaszcza w obliczu braku jakichkolwiek gwarancji, że politycy i dziennikarze nie wzniecą kolejnej politycznej hecy na tle niemieckim, niweczając u co mniej silnych psychicznie chęć do dalszej dobrej roboty w tym zakresie.

Na szczęście jubileusz miasta jeszcze trwa. Panie Prezydencie, Szacowni Rajcy Miejscy, zgłaszam w imieniu Polsko-Niemieckiego Stowarzyszenia Educatio Pro Europa Viadrina, działającego w naszym euroregionie, deklarację pomocy w zorganizowaniu wiosną 2007 roku w Gorzowie ogólnopolskiej konferencji stowarzyszeń polsko-niemieckich pod roboczym hasłem „Nie dajmy się zwariować nieodpowiedzialnym warszawskim politykom i dalej kroczyć z Niemcami drogą ku sobie”. Wpiszcie, Panowie, ten projekt w plan obchodów jubileuszu swego miasta. Czekamy na odzew.

Zbigniew Czarnuch (Witnica)



Ireneusz Krzysztof Szmidt

Wstydzę się, Panie Prezydencie

Że już nie wierzę w Pana Boga
ot tak – zwyczajnie i bezmyślnie
że oczy skrywam różą płatkami
byś nie wyczytał w nich przypadkiem
jakichś nieprawomyśli moich
nielojalności amoralnych
wstydzę się Panie Prezydencie...

Że słowa które słowa znaczą
ubierać znów w aluzje muszę
by ktoś nim tobie je doniesie
nie będzie w stanie ich wypaczyć
przeciwko mnie lecz także Tobie
gdy same wejdą już w krwi obieg
wstydzę się Panie Prezydencie...

Że naród z braku wyobraźni
cofa się w jesień średniowiecza
– znów nie wychodzę na ulicę
bez tej obawy która każe
za węglem szukać ocalenia
Patrzeć na harce kotów wolę
niż polityków na ich gęby
gdy przy śniadaniu czy obiedzie
na siebie jadem plują wściekle
a ja nie robię nic w tym względzie
nie splunę w ekran nie wyłączę
wstydzę się Panie Prezydencie...

Wstydzę się Panie Prezydencie
że prawu sprawiedliwość przeczy
warcho! za gardło wolność trzyma
głup światłych dziś rozumu uczy
Pan do narodu serce stracił
miast dać mi chociaż okruszynę
bo pokuszenie coraz większe
by krzyczeć
krzyczeć
krzyczeć
krzyczeć

Nie będziem krzyczeć cichaj serce
idź hen, ku nowej poniewierce

dokończenie ze str. 1

Konstancinie, czy cały tom wierszy o bloku – mrówkowcu, gdzie mieszkał i z którego jak z bocianiego gniazda obserwował najbliższy świat.

Rozwijając tę myśl – podeprę się cytatem z książki Jerzego Jarzębskiego „Bruno Schulz”; otóż w jego książce o Brunonie Schulzu, tym światowym dziś (bo tłumaczonym na 20 języków świata) outsiderze literackim, który przemieszczał przez całe życie w prowincjonalnym mieście na Kresach znalazłem następujące zdanie: „Schulz jest pisarzem – może najbardziej ze wszystkich, którzy pisali w Polsce – uniwersalnym. To niezwykle paradoks, jeśli wspomnimy, że nigdy swą pisarską wyobraźnią nie wykroczył poza małe miasto zagubione wśród wzgórz wschodniej Galicji. O jego uniwersalności decyduje – tak jak w przypadku Kafki czy Faulknera – nie tyle „światowość” samego twórcy, ile domyślenie do końca, do najdalszych konsekwencji, wszystkich problemów, które rodzi dla jednostki po prostu bycie w świecie, udział w misterium narodzin, życia i śmierci, przeżywanie dramatu historii, która toczy się przecież zarówno w Paryżu, jak w Drohobyczu i wszędzie – w centrum świata i na jego peryferiach – nosi w sobie jądro tej samej metafizycznej tajemnicy”.

„Domyślanie wszystkich problemów, które rodzi dla jednostki bycie w świecie”, to jeszcze jedna próba stworzenia własnego, niepowtarzalnego świata, który rządzi się swoimi prawami. Jeszcze jedna próba stworzenia Całości, napisania Oryginalnej Księgi na wzór Biblii, a nie – jak to określił Schulz – kleceni fałszyfikatów tej księgi, czyli jak to powiedzielibyśmy dziś – postmodernistycznych fragmentów, sklejonych byle jak strzępów opowieści... Historia literatury przekonuje, że właśnie małe miejscowości – w których jak w soczewce skupiają się promienie świata i wyraźniej widać losy ludzkie – stwarzają twórcy możliwości i warunki dla genezis, zuchwałego aktu „zamachu na wszystko” (bo tym jest poezja), skupiania się na jednym fragmencie, żeby zobaczyć w nim Kosmos...

* * *

Bohaterem opowiadań Schulza jest miasteczko, ale widziane z perspektywy kosmicznej, odwiecznej, biblijnej, a nie z perspektywy kurzej, okiem pani Kowalskiej, która dostrzega wszystko osobno, bez związku ze sobą.

Czy można powiedzieć, że nad głowami bohaterów opowiadań Schulza rozciąga się niebo lokalne? Nie, bo jest to niebo – jak i samo życie ludzkie – tyleż lokalne co uniwersalne, pod którego dachem wszyscy żyjemy; jest to niebo inkrustowane gwiazdami, które jawią się równie olśniewająco w Drohobyczu, Krakowie, w Sydney, co nad Górami Skalistymi. Schulz w poetycki sposób opowiada o ogromnych przestrzeniach tego nieba i nocy lipcowej: „Noc lipcowa! Z czym ją porównać, jak opisać? Czy porównam ją do wnętrza ogromnej czarnej róży nakrywającej nas snem stokrotnym tysiąca aksamitnych płatków? Wiatr nocny rozdmuchuje do głębi jej puszystość i na dzień wonnym dosięga nas spojrzenie gwiazd (...) A może porównać ją do długiego jak świat, nocnego pociągu jadącego nieskończonym czarnym tunelem? Iść przez noc lipcową, to przedzierać się z trudem z wagonu do wagonu, pomiędzy sennymi pasażerami, wśród ciasnych korytarzy, dusznych przedziałów i krzyżujących się przeciągów.

Noc lipcowa! Tajemny fluid mroku, żywa, czujna i ruchliwa materia ciemności, nieustannie kształtująca coś z chaosu i każdy kształt natychmiast zarzucająca!”.

Miasteczko z figurkami ludzkimi z Drohobycza jest przez Schulza zuchwale rzucone na tło wielkiej Natury, wielkiego Nieba, Kosmosu, Wieczności, Nieskończoności...

Temu marzycielowi nie wystarcza realna czasoprzestrzeń Drohobycza, nie mieści się w niej – toteż jego bohaterowie żyją nie tylko wzdłuż i wszerz, lecz przede wszystkim w głębi i wznwyż...

Opozycja „lokalne” – „uniwersalne”, którą zbudowaliśmy, by stała się przedmiotem naszych dyskusji – na tle tej literatury błędnie i właściwie przestaje mieć rację bytu. Można być znakomitym pisarzem zakorzenionym wyobraźnią w jakimś miejscu i czerpiącym z niego pożywe soki przez całe życie, nie przestając być równocześnie pisarzem stuprocentowo uniwersalnym. Co oczywiście nie znaczy, że nie istnieje armia pisarzy, którzy opowiadając o sobie, o świecie, nie są zdolni wznieść się nawet na najniższy szczebel uniwersalności. Wielki poeta potrafi z małego tematu stworzyć arcydzieło, mały pisarz potrafi spartaczyć wielki, uniwersalny temat. Wszystko jest zależne od skali talentu, a nie od tego, gdzie kto mieszka i jakiej wagi temat podejmuje.

*„można być
w kropli wody
światów odkrywca”*

*można
wędrując dookoła świata
przeoczyć wszystko”*

– pisałem kiedyś w wierszu „Światy”.

Pisarz francuski Jules Renard sprecyzował to trochę inaczej: „Wystarczą mi trzy fotografie i jedna lupa za całą podróż”. A więc nieważne skąd poeta się wywodzi, czy przewędrował świat, czy zasiedlał się w jednym miejscu. Ważne, jaki artystyczny użytek zrobi z danego mu doświadczenia.

* * *

Twórcy modnej dziś filozofii holistycznej powiedzieliby, że wszystko jest we wszystkim, czyli drobinki makrokosmosu zawarte są w mikrokosmosie a w kropli wody odbija się cały wszechświat – trzeba tylko umieć to zobaczyć: związki pomiędzy małym i dużym, teraźniejszością i odwiecznością, sacrum i profanum. Chwila wieczna mieszka w każdej chwili. Czeka na to, żeby ją wyłuskać.

* * *

Jerzy Pietrkiewicz, poeta i prozaik polski mieszkający od półwiecza w Londynie i wykładający tam literaturę na uniwersytecie, wspomina gdzieś, że jego zdaniem wszystko co najlepsze w polskiej literaturze powstawało z dworków, z prowincji, czyli mówiąc współczesnym językiem z małych ojczyzn... Jest to teza dość ryzykowna, ale niekoniecznie błędna. To fakt, że wybitną literaturę w XX w. udało się też stworzyć poetom polskim operującym niekiedy w abstrakcyjnej przestrzeni. Myślę tu głównie o Wisławie Szymborskiej czy Zbigniewie Herbertcie, których znakomite wiersze rozpięte bywają nierządkiem na siatkę mitów i symboli kultury śródziemnomorskiej.

Jeśli jednak spojrzeć na całą historię literatury polskiej, to okaże się, że w poezji polskiej najlepiej udawały się jednak

wiersze pozostające przy konkretności, wyrastające z konkretnego kawałka ziemi, z małej ojczyzny. Cały ten krąg ziemiański – dworkowo – ludowy. Kochanowski, Mickiewicz, Lenartowicz Czechowicz, Piętaś, czy Leśmian – poeta niesłychanie związany z żywiołami natury i przyrody. Wyjątkiem od reguły jest genialna filozofująca i niekiedy publicystyczna poezja Norwida. Ale zobaczymy, co stało się z Asnykiem, poetą bardzo abstrakcyjnym i filozofującym, z poetami młodopolskimi, pozytywistycznymi, z poetami Oświecenia? To były sztuczne kwiaty już w chwili powstania. Czy to nie paradoks, że z całej Awangardy opiewającej

„miasto, masę, maszynę” ostał się jedynie chłopski Przybós?

* * *

Myszę, że to wszystko, o czym wyżej napisałem odnosi się również do sytuacji współczesnej literatury i kultury. W Europie „małych i dużych ojczyzn” powinna być wręcz pielęgnowana różnorodność kulturalna jako warunek żywotności i bogactwa tej kultury. Granica pomiędzy tym co lokalne, a tym co uniwersalne może być bardzo płynna, a w spotkaniu z wielkim talentem pisarskim przyska i staje się w ogóle niedostrzegalna

Józef Baran

Poeta, publicysta

Urodził się 17 stycznia 1947 r. w Borzęcinie koło Tarnowa. Ukończył studia z zakresu filologii polskiej w WSP w Krakowie. Pracował przez rok jako górnik, przez 5 lat jako nauczyciel, przez 27 lat jako dziennikarz, ostatnio w krakowskim „Dzienniku Polskim”. Od 5 lat nie pracuje etatowo.

Zadebiutował wierszami w „Tygodniku Kulturalnym” w 1968 r.; tomikiem poetyckim „Nasze najszczersze rozmowy” (WL Kraków) – w 1974. Opublikował ponad 25 książek – zbiory wierszy, wiersze wybrane, eseje, dzienniki, wywiady.

Obecny w wielu antologiach krajowych i zagranicznych, jak i w podręcznikach do gimnazjum i szkół średnich.

Nagrody za książki poetyckie:

„Nasze najszczersze rozmowy” – Nagroda im. Andrzeja Bursy (1975); „Dopóki jeszcze” – Nagroda im. Stanisława Piętaś (1977); „W błysku zapałki” – Nagroda Fundacji Kościelskich w Genewie (1980); „Pędy i pęta” – Nagroda Funduszu Literatury (1985); „Dom z otwartymi ścianami” – Krakowska Książka Miesiąca (2001); „W błysku. In a Flash” (przekład Anieli i Jerzego Gregorków) – doroczne wyróżnienie PEN West w Los Angeles (2001), Nagroda Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa (2005)

Ponadto poeta został wyróżniony – za całokształt twórczości – laurem mistrzowskim przyznawanym przez Fundację Kultury Polskiej (2002) i Nagrodą im. Orkana (2002).

W 1991 – stypendysta Svenska Institutet w Sztokholmie. W rok później otrzymał stypendium na wyjazd do Szwecji z Fundacji Wspierania Niezależnej Nauki i Kultury Polskiej w Paryżu.

W maju 2000 czytał swoje wiersze w gmachu ONZ w Nowym Jorku na spotkaniu poetów polskich (Baran, Lebioda, Żurkowski) i amerykańskich (Kunitz, Stern, Taylor).

W październiku 2001 reprezentował poezję polską na XXI Światowym Kongresie Poetów w Sydney.

Poeta obecny w podręcznikach szkolnych, w wielu antologiach polskiej poezji XX w., zarówno tych krajowych, jak i zagranicznych. Jego wiersze są śpiewane przez Stare Dobre Małżeństwo i Grupę Pod Budą, a także przez Elżbietę Adamiak, Mirosława Czyżykiewicza, Hannę Banaszak, Elżbietę Wojnarowską.

Osobne tomiki wierszy J.B. ukazały się w przekładach w Rosji (tłum. Andriej Baziliewskij) i w USA (tłum. Aniela i Jerzy Gregorkowie). Ukazał się też obszerny tom polsko-niemiecki w przekładzie Henryka Bereski; zaś pojedyncze wiersze były przekładane na wszystkie języki słowiańskie; a także na galijski, hebrajski, włoski, szwedzki, arabski, węgierski i język hindi.

Ostatnie książki Józefa Barana to m.in. „Dolina ludzi spokojnych” („Biblos” Tarnów 2001) i „Najdłuższa podróż życia” (wyd. „Nowy Świat” Warszawa 2002), „Koncert dla nosorożca. Dziennik poety z przełomu wieków” (Zysk i S-KA, 2005), „Zielnik miłosny i inne liryki” („Zysk i S-KA 2005”), „Taniec z ziemią” (Zysk i S-KA, 2006), „Tragarze wyobraźni” (eseje, wspomnienia, rozmowy o literaturze) – Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu.

Mówi o sobie:

Wiersze adresuję do wybrednych znawców sztuki poetyckiej i do tzw. zwyczajnego czytelnika. Nie pochwalam tych, którzy się zamykają w hermetycznej wieży poezji uniwersyteckiej. Uważam to za początek końca żywej poezji.

Animator gorzowskich warsztatów poetyckich Józef Baran z rodziną



MÓJ DEKALOG POETYCKI

1 Zwykło się mawiać, że to odbiorca nie dorasta do poezji (sztuki) współczesnej.

Jakże często bywa jednak odwrotnie. To poezja (sztuka) współczesna nie dorasta do odbiorcy. Gdy jest wyniośle hermetyczna, mało komunikatywna, operująca wąskim kodem środowiskowym lub pokoleniowym. Gdy nie jest bliska życiu, nie wyraża bogatej skali przeżyć, z którymi odbiorca mógłby się utożsamić i powiedzieć: to mój ból, moja radość, mój zachwyty, moja złość! Te słowa poeta wyjął mi z ust...

2 Odkakiwać od siebie, zmieniać perspektywę. Tę samą rzecz, osobę, świat, siebie, widzieć z księżycą i pod mikroskopem: w różnych wymiarach, kontekstach. Wczuwać się w cudze języki i myślenia. Nie tylko ja, ja, ja („jaizm”) lecz także ty, on, ona, my, wy. Ale do tego potrzebne doświadczenie życiowe, dar wsłuchiwania się w drugiego, pewien rodzaj pokory. Tymczasem wielu autorów polskich wyszło na świat z próbki uniwersyteckiej. Wierzą w jeden secentystyczny wymiar życia, świata. Rasowy poeta wczuwa się nie tylko w cudze światy ludzkie, lecz używa też głosu drzewu, kamieniom, wodzie, chmurze, ptakom. Widzi człowieka na tle wielkiej natury, wielkiego kosmosu.

Antropocentryzm („Człowiek jest miarą wszystkiego”) toż to rodzaj pychy i egoizmu zawężającego poznanie, przesłaniającego prawdziwy obraz świata.

Cenię poetów, którzy sytuują człowieka na tle nieba, przyrody, pogody, przestrzeni; operują nazwami własnymi: wróbel, kalina, strumyk, a nie abstrakcyjnymi: ptak, drzewo, woda...

3 XX – wieczni awangardyści i wszelkiej maści „iści” pogłębili przepaść dzielącą twórcę od tzw. przeciętnego odbiorcy (w tę lukę weszła tandetna kultura masowa). Im wystarczyło na widowni kilkanaście osób. Jakkolwiek zdają sobie sprawę z wagi poszukiwań i eksperymentu w zakresie formy, wiem, że zwyciężają w końcu ci, którzy mądrze godzą tradycję ze współczesnością. Awangardyści są jak rewolucjonisci. Dzieci rewolucji bywają w końcu pożarte przez samą rewolucję.

4 Doprawiam rzeczywistości skrzydła. I to jest poezja. A czasem obrzydam jej skrzydła, gdy za bardzo się rozrastają, zastępując ciało. I to też poezja.

Poeta intelektualny gra na paru strunach instrumentu, rezygnując lekkomyślnie z innych. Owszem, intelekt niech sobie siedzi na koźle i powozi pięcioma zmysłami, żeby go nie zwiodyły na manowce. Ale cóż wart jest woźnica bez powozu? Należy się odwoływać do umysłu, lecz także do serca, do wyobraźni, do podświadomości (a nie tylko do świadomości). Lubię w poezji oryginalny świeży obraz, jego ekspresyjność, wizyjność, ale także dyskretną muzyczność. Kołysanie słów, zdań, fraz. Smak, zapach, kolor, światło, ciepło wiersza. Poezję pisze się nerwami. Intuicja, wrażliwość jest może nawet ważniejsza od wiedzy koniecznej dla naukowca. Poeta to człowiek gwałtowny, pierwotny. Widzi całość - w szczególności - w mgnieniu oka - w błysku. Próbuje ją wypowiedzieć i często krzyczy, dławi się.

W każdym twórcy istnieją trzy wcielenia. Pracowita pszczołka gromadząca na szlakach życia materiał do wiersza (złoty pyłek), kreator, któremu intuicja odkrywa w jednym błysku wizję oraz technolog żmudnie cyzelujący formę i próbujący tej wizji nadać w miarę możliwości najdoskonalszy kształt słowny.

5 Odrębność, osobność – warunek niezbędny. Ci, którzy są do siebie podobni - przepadną, choć teraz chwali się ich właśnie za to, że są identyczni. Jakie to wygodne dla krytyka opisać z pewnej wysokości stado podobnych do siebie autorów! A jednak w poezji liczą się poszczególne, egzotyczne egzemplarze. Nie będzie liczył się vice – Wojacek, vice - Herbert, vice – Różewicz (legiony naśladowców!).

W I E R S Z E N A J N O W S Z E

(po raz pierwszy w druku)

Rozwiewność

przed Kościołem Mariackim
wiatr owiewa
i rozwiewa
niczym płatki piwonii
w cztery strony
zbitą w fotkę
aparatu fotograficznego
wycieczkę
japońską

usiłującą
złapać czas
na gorącym uczynku

wstrzymać
w obrotach kulę ziemską

Ciągnie barana do lasu

wszyscy chcą
do Europy
a ja w te pędy
na drzewo
do lasu
z ptakami śpiewać
rekwiem dla cywilizacji

Uczę się od mrówki

gdy znów cel z oczu tracę
bo wydaje mi się
że wszystkie nasze ziemskie starania
diabła warte

przyglądam się z podziwem
anonimowej mrówce:
tej miniaturowej
kulturyście losu
taszczącej pod górkę
ziaranko Wiary

z taką determinacją
jakby to od niej
co najmniej miało zależeć
czy Ziemia będzie się nadal
kręcić!

Borzęcin, 26 maja 2006

Powtarzam sobie - bądź pierwszym Baranem! Kukułka ma kukać, a nie nieudolnie udawać ryk lwa..

6 Chętnie spotykam się z publicznością; jest to zresztą moja forma zarobkowania. Na spotkaniach autorskich wypróbuję nowe utwory. Sprawdzian estrady, głośnego czytania. Choć wiem, że nie należy iść na lep taniej popularności, bo to na dłuższą metę prowadzi do rozdrobnienia talentu. Niemniej, poeci bez publiczności, niekontrolowani, łatwo brną w niezrozumiałstwo i w dłużyzny. Gdy występowałem kiedyś z pewnym zespołem muzycznym, a na sali siedziało tysiąc osób – wiedziałem, że muszę ich trzymać w napięciu, w przeciwnym razie mnie wygwizdzą. Duża publiczność to kryterium dyscyplinujące autora, dobra korektorka. Pierwsze przykazanie literatury – nie nudzić!

Przeczytać ten sam wiersz profesorowi, prostej wrażliwej kobiecie, człowiekowi młodemu, człowiekowi nad grobem – jeśli wszystkich poruszy – znaczy się dobry.

7 Odbiorca jest współtwórcą wiersza. Trzeba mu tylko poddać melodię czyli metaforę – a on sam resztę dośpiewa.. Wypełni myślami, ożywi swoim życiem pojemną formę. Potrącić u odbiorcy odpowiednią strunę serca, wywołać skojarzenia intelektualne, emocjonalne – na podobnej zasadzie jak kamień rzucony do wody wywołuje kręgi na wodzie. Operowanie wielomównymi niedomówieniami – o tym pisał już Norwid.

8 Do jakiegoś czasu poeta pisze sobą. Zanurza się i wyławia. A jak już dużo wyłowi? Co dalej? Wyobraźnia, wrażliwość, zmysły – muszą być nieustannie podkarmiane. Przez podróże, ale także przez żywy kontakt z interesującymi ludźmi, z przyrodą, a nawet poprzez awantury miłosne, które dają nową energię. Pisanie to też rodzaj transfuzji energii. Wiersz - energia w pigułce. Energia może być biała, czarna, czerwona, zielona... albo żadna i wtedy wiersz jest martwy. Żeby poeta mógł dawać energię innym – musi ją pobierać z otoczenia, potem przetwarzać w obraz, wiersz, sonatę. Stąd ludzie sztuki bywają niekiedy wszytkożernymi świniami, co można im wybaczyć, gdyż dają w zamian piękno. W ich wypadku egoizm przemienia się cudownie w altruizm. Nie ma rady, musi się dużo brać, żeby dawać i ciągle owocować. Poeta bywa więc wiecznym głodomorem wrażeń, rabusiem uczuć. Moralnym obowiązkiem artysty jest niekiedy bycie niemoralnym (E. Dickinson).

9 Podróże podkarmiają zmysły, wytrącają ze szkodliwej rutyny, żeby móc spojrzeć świeżym okiem na świat, bliźniego, przyrodę, demaskując złudę swojskości, złudę realności, pokazując jak wszystko jest względne, przemijalne, dynamiczne. Bo taki jest nasz prawdziwy człowieczy los: migracja z miejsca na miejsce, z czasu do czasu; wypędzenie z kraju dzieciństwa, z kraju młodości, wreszcie z życia „za granicę ciała”. W podróży człowiek dotyka miast, ludzi, miejsc i odskakuje. Widzi siebie w nieustannym ruchu. Powraca utracona - na skutek przebywania w jednym miejscu – świeżość wyobraźni. Wszyscy jesteśmy podróżnikami czasu i przestrzeni. Kocham przestrzeń (wolność) i uczyniłem ją bohaterką wielu wierszy ostatniego tomu.

10 Cieleśność wiersza. Wiersz niechaj będzie przyobleczony w ciało, niechaj wyrasta z konkretnego, z ziemi, z czasu. Oczywiście potrzebne mu są też skrzydła, duch (jego powietrzem jest przecież rzeczywistość duchowa), ale samo pierze nie wystarczy, konieczne jest mięso - konkret. Z niego ma być budowana (urzędowa) forma. U jednego z moich ulubionych poetów znalazłem 50 nazw potraw. Dobrze jest stać mocno nogami w strzemionach ziemi i nie tracić z oczu gwiazd. Jak pisałem kiedyś w wierszu: „do poezji/ trzeba mieć łeb jak ćwierć/ i zagrychę z prozy/ bo to siekiera stuprocentowa/ ani się obejrzy/ już pod stołem leżysz/ urżnięty na śmierć/ jak ci tam trzej/ Rafał Bruno i Sted (...)

AMEN

Fredocentryzm

zawalił się stary ustrój
powstał nowy
Fredek Merkur
siedzi na skrzynce
pod sklepikiem
sączy piwo

przejechałem pół świata
znalazłem dowody na istnienie Bóg
by za chwilę je zgubić
Fredek siedzi
na skrzynce pod sklepikiem
pije piwo

znowu
wyjeżdżałem i wracałem
nad Uszwicę
zalany piwem Fredek
siłował się pod sklepikiem
z własnym rowerem
jakby mu był
kulą ziemską u nogi

usiadłem obok Fredka
sączymy nawarzone
przez los piwo

Fredek bełkocze:
- jo tyle ino wiym
ze jak zyje
to sie świat koło mnie obraco

a jak umre
to sie świat tyz przestanie
kryńcić...

Borzęcin, maj 2006

Kraków

ze wszystkich okien
rynkowych kamienic
cisną się spojrzenia
żywych i
umarłych z którymi
się mijamy
między gołębiami
antykami
pomnikami

i nie wiadomo kto z nas
żywszy
kto naprawdę
prawdziwszy

Szwajcarska niedziela

wszędzie siano pachnie tak samo
i nigdzie śpiewu ptaków
i cykania pasikoników
nie trzeba tłumaczyć na polski

tu czas pomnożony przez
alpejskie przestrzenie
wydłuża się niebotycznie
i wydaje się że hen
w zaczarowanej dolinie
zatrzymał się i nie płynie
z wskazówką, na lecie

w przykościelnej altance
na wzgórzu
dziesięć siwych pań
z protestanckiej orkiestry symfonicznej
z nabożnym skupieniem
wyszywa na instrumentach
dla całego miasteczka
pogodę Haydna i Mozarta

dzień jest tak piękny
że nie wiadomo co z nim począć

jak z nagłą wyłowiona złota rybka
co mogłaby spełnić każde życzenie
gdybyśmy z wrażenia
nie zapomnieli języka w gębie
Bergdietikon, 15 czerwca 2006

Obrazek z robotnikami za oknem

Albo jeszcze polska nie zginęła...

od tygodni
trwa ocieplanie bloku
od tygodni
„kurwy” za oknem latają,
od tygodni
budzę się z myślą,
o!
Polacy nie gęsi
i swój język mają

1 czerwca 2006

Mała pociecha

na nieszczęście
przemija
radość
młodość
szczęście

na szczęście
przemija
smutek
starość
nieszczęście

List jesienny... również o poezji

Pamiętasz, jak to kiedyś zwierzyłem Ci się, że w Bory Tucholskie najchętniej jeżdżę jesienią? Zdziwiłaś się, że nie wiosną wymieniłem, nie lato, ale właśnie ten okres, który kojarzy się z pluchą, przymrozkami i innymi „atrakcjami” niosącymi mało przyjemne doznania. Jednak później, gdy opowiadałem Ci o grzybobraniach, wieczornych i nocnych koncertach na wiele jelenich i żurawich głosów, o jesiennych wiewiórkach, gdy pokazałem Ci zdjęcia rubinowych i złotych leśnych skarbów – zaczęłaś zmieniać zdanie. Pamiętasz? Do dziś nie wiem jednak, czy na zmianę Twojego zdania nie miał znaczącego wpływu nastrój tamtego wieczoru i pełzającego po ścianach migotania świateł w trakcie moich opowieści...

Dzisiaj, już nie o poranku i jeszcze nie w południowej porze, zawędrowałem w miejsce, gdzie przecinająca park narodowy z północy na południe żuźłówka tworzy malowniczą pętlę. Droga otacza niegdysiejsze wyrobisko torfowe. Dzisiaj wypełnione wodą i zarosłe wodną i bagienną roślinnością jest jednym z najbardziej urokliwych miejsc w samym sercu parku narodowego. Punkt ten, jak już zdążyłem się tu i tam pochwalić, określony jest na mapach bliskim mi skądinąd mianem.

A tam było... No, właśnie. Można by powiedzieć, że tam nikogo i niczego nie było i nie ma. Nie przejeżdżali rowerami, ani nie przechodzili *per pedes* letni turyści. Nie było wiosennego gwaru żabich zalotów i ptasich głośnych znakowań rewirów wokół gniazd. Trawy przydrożne i przybrzeżne już zapomniały o soczystej zieloności – tak samo jak liście pałek i trzciny stojących po kolana w wodzie. Pałki u pałek – ładnie to brzmi – już zbrązowiały, chociaż dopiero zimą zaczną puchnąć puchem (też słowa zagrały w jednej tonacji). Nie było już kwiatów wodnych lilii... I tak mógłbym Ci długo jeszcze wymieniać, czego to teraz i tu już nie ma, spośród tego, co przecież nie tak dawno, bo zaledwie kilka miesięcy temu, tak Cię zachwyciło. Była za to... cisza. Las stał zadumany. Niesiona niewyczuwalnym powiewem przypląnęła na moją twarz – czyżby na powitanie? – nitka pajęczyny. Na wodzie, między nieruchomymi, ale nadal zielonymi talerzami grzybieni i grążeli, powolutku przemieszczały się złote liście, które sfrunęły z pobliskich drzew może dzisiejszym rankiem, a może jeszcze wczoraj. Gdzieś tam zabrzęczał w misternie utkanej pajęczynie jakiś nieostrożny owad... Jakiś ruch na ścieżce po drugiej stronie wody... Czyżby? Ależ tak. To on! Znajomy zając. Od lat zająca rodzina ma w tej okolicy swoją kotlinkę i nader często udaje mi się któregoś z nich spotkać – też Ci o nich kiedyś opowiadałem. Ten dzisiejszy, zajęty swoimi frasunkami, kicając zniknął za zakrętem...

I właśnie, gdy już od dobrych kilku, a może kilkunastu minut siedziałem na pomoście widokowym (bo i widok jest przedni o każdej porze roku) niemalże zmaterializowała się „Pieśń jesienna” i zaraz po tym, ni stąd ni zowąd, przyszły mi do głowy słowa naszego warszawskiego przyjaciela, Zdzisława, tłumaczące istotę wiersza. Zdzisiu powiedział, iż wiersz jest to coś nieuchwytnego, nieokreślonego, coś, co jest zawieszony między niebem a ziemią. Niebem – bo w poezji musi być jakieś uduchowanie, wzniosłość, jakaś lekkość. Ziemią – bo my, stąpający po niej ludzie, chcemy tego czy nie, stan swojej duszy, jej obraz w wierszach odnajdować powinniśmy. Tę swoistą definicję opowiadam niekiedy jako anegdotę. Dodaję przy tym – za zgodą jej wynalazcy – że w moich lasach są takie miejsca, gdzie te stwory, jakimi są wiersze, wręcz kłębią się i dosłownie materializują.

Opowiadam, że ja wierszy nie piszę, nie tworzę ich – ja je tylko zapisuję. One są w tych miejscach, gdzie zachodzę i gdzie mi owa przysłowiowa żuchwa dosłownie opada z zachwytu. Tak jest nad Nawionkiem... Pamiętasz? Opowiadałem Ci kiedyś, jak to mój kolega – krakowski profesor siedział nad tym jeziorem przez niemalże pół dnia, a potem, wyraźnie odmieniony, stwierdził, że po raz pierwszy znalazł się w miejscu zmuszającym do odbycia prywatnych rekolekcji... Ha! Przecież ja już dawno wiedziałem, że w okolicach Nawionka krążą niemalże tabuny wierszy. Tak samo, zresztą, jak w Piekielku nad Brdą, jak między cisami w Wierzchlesie, w Krzywym Kole i w wielu jeszcze innych miejscach, które Ci pokazywałem. A teraz wiem, że i do „Pętli” jakiś ciepły jesienny powiew także je przyniósł... A może przypląnęły na skrzydłach żurawiego klangoru znad niedalekiego Płesna?...

Dość tej zadumy! W notatniku, obok naukowych zapisków – wszak w przyziemnym (dosłownie) celu w to miejsce przybyłem – znalazł się zapis metafory, która snuła się wraz z pajęczyną babiego lata. W spokojne zimowe wieczory spróbuję ubrać ją w słowa i wtedy, być może, przeczytam Ci wiersz. A inne zapiski? No cóż. Trzeba będzie już mądrym, naukowym językiem je zinterpretować, wtłoczyć w jakieś tabele i rubryki...

Mówiłem Ci kiedyś, że są dwie, nie znoszące konkurencji dziedziny zajęć człowieczych: nauka i sztuka. Są piekielnie zaborcze. I jednej, i drugiej, jeśli oczekujesz od którejś z nich jakiejś wdzięczności, a i to nie jest pewne, że jej się doczekasz, musisz poświęcić się bez końca. Jeśli muzyką, poetyzowaniem, malarstwem, czy jeszcze inną dziedziną sztuki zajmujesz się tylko tak sobie, przy okazji, to nie oczekuj, że wrota Parnasu będą dla ciebie szeroko otwarte. Obowiązuje zasada: wszystko albo nic. Chyba, że tworzysz dla przyjemności, ale wtedy nie spiesz się z szykowaniem czoła dla laurowego wieńca. Co najwyżej laur zastąpisz liśćmi bobkowymi i też będzie ci z nimi do twarzy. Także i nauka. Ale... Jak widać, te dwie zazdrościce można cierpliwością, może dobrym słowem próbować godzić i zbliżyć do siebie, twierdząc, że i nauka, a badanie przyrody w szczególności, jest już sama w sobie poezją...

Uff! Kończyć trzeba ten list, bo właśnie naukowe zapiski czas porządkować.

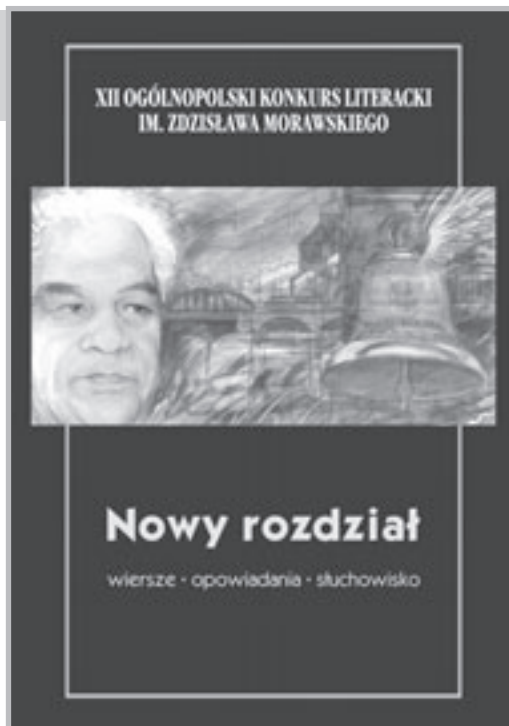
Dobrej nocy Ci życzę ze środka Borów, znad mojej (i naszej przecież) pętli, gdzie zapętlilo się tak wiele i z pewnością wielu w życiu zapętlonych znalazło swoje ścieżki.

Pętla Lipnickiego w Parku Narodowym „Bory Tucholskie”, w końcu września ... roku

Ludwik Lipnicki

Urodził się 25. VIII. 1947 r. w Łubiance k. Gorzowa. Tytuł doktora nauk biologicznych i doktora habilitowanego uzyskał na UMK w Toruniu. Profesor, nauczyciel akademicki w Instytucie Wychowania Fizycznego w Gorzowie. W 1986 r. debiutował wierszem w piśmie „Przyroda Polska”. Od 1998 r. członek ZLP.

Wydał tomy poezji „O tym ci powiem” (Tuchola 1991), „Zapięta się jesień” (Kraków 1994) oraz książkę prozatorską „Na niebie, na ziemi” (WAG „Arsenał”, Gorzów 2002). Mieszka w Drezdenku.



Nowy rozdział konkursu Morawskiego

Dwunasta edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Z. Morawskiego dostała oprawę, na jaką dawno on sobie zasłużył. Dwudniowe spotkanie laureatów, którzy przyjadą do Gorzowa po odbiór nagród i wyróżnień z zakwaterowaniem ich w hotelu, po imprezach towarzyszących finałowi konkursu, wreszcie rozwiązuje problem ich powrotu nawet do odległych miejsc zamieszkania. Warsztaty twórcze z udziałem wybitnego polskiego poety Józefa Barana i Barbary Kosmowskiej – postaci uznanej w świecie literaturoznawców, z udziałem gorzowskiego środowiska literackiego, pomyślane zostały jako panel dyskusyjny o kondycji polskiej literatury współczesnej, dla której konkurs gorzowski jako jeden z najważniejszych w kraju, jest jeśli nie lustrem, to przynajmniej lusterkiem. Literatura, a w szczególności kapryśna dama poezji, musi czasem spojrzeć przez nie w oczy tych, co ją uprawiają. Każdy konkurs literacki ma swoich liderów i przegranych. Tych drugich jest niepomniernie więcej, nawet po odrzuceniu przez jurorów w selekcji wstępnej ewidentnej grafomanii. Warsztaty dadzą okazję, by porozmawiać o kryteriach oceny, o tym co dziś uważane jest za literackie „trendy”.

I jeszcze jedna nowa rzecz w konkursie. Do tej pory teksty laureatów publikowaliśmy w Piśmie Literacko-Artystycznym „Lamus”. Zajmowały one niemal połowę jego objętości, przez co mniej było miejsca na rekapitulację („Lamus” jest rocznikiem) dokonania twórczych minionego roku gorzowskiego środowiska artystycznego. Dziś najlepsze, najciekawsze teksty Konkursu zostały opublikowane w osobnej książce pt. „Nowy rozdział”, wydanej dzięki środkom przyznanim organizatorom w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Myślę, że trzeba za konsekwentne dążenie do profesjonalnego oblicza Konkursu (co także w swoim protokole podkreśliło Jury), podziękować jego organizatorom, pracownikom WiMBP w Gorzowie z jej dyrektorem Edwardem Jaworskim i dyrektorowi Klubu Myśli Twórczej „Lamus” Eugeniuszowi Wieczorkowi.

Heavy metal

(Fragment napisanej w 2004 r. powieści pt. *Przebierańcy*)

– Tak był rzekł – powiedziała Orchidea w specjalnym przemówieniu, napisanym dla Najwyższego Grubego Wojewódzkiego, wygłoszonym na zapleczu ceremonii w sprawie obrzędowości. – Chodzi o ścisłość, jak było przykazane. W bridża nie grał, natomiast, jeśli rozchodzi się o sprawy polityczne, aktywnie zwalczał socjalizm, nie wyłączając redaktora Szymona Chałata, który jest jako czołowy w Województwie Komentator Polityczny po Linii. Wzmiankowany ten Szymon Chałata, redaktor, jak wynikało to z przemówień A.P. pomiędzy toastami, a nawet gdyśmy potem z nim wszczęli grę miłosną, po przybyciu na miejsce wskazane na wstępie, napisał polityczny artykuł na całą stronę. Co A.P. ocenił, cytuję: Ten skurwysyn całą gazetę by mi zaślnił i redaktor naczelny A.P. nie puścił wspomnianego do druku. Zaczęłam rozpytywać, dlaczego w momencie, gdy on mnie wetknął, dla zmylenia, żeby sobie nie pomyślał. Odpowiedział, cytuję: Ten złamas, nie dość, że całą gazetę mi zaślnił, że poślinił wszystkie spracowane nad przebudową Starej Odnowy na Nową Odnowę ręce obcałowując je bez opamiętania, to jeszcze chce podetrzeć się moją gazetą. Adasiu, odpowiedziałam, gdy mnie miętosił w grze wstępnej, pamiętając o danym słowie przyrzeczenia, że słowo w słowo bez pomijania, a dlaczego ty mówisz, że to jest twoja gazeta, kiedy nie twoja jest? Zaś Adam Pan, redaktor naczelny Tygodnika Prowincjonalnego, rozkazując mnie, jakbym była jakąś kompanią honorową Wojska Polskiego, żebym sobie podłożyła poduszkę i wtykając mi ją pod, nie bacząc na nic, ani nie zważając, bez nałożenia peleryny, w dalszym ciągu kontynuował i wspomniawszy, że ma z Szymonem Chałatem, skurczonym od bezustannych unізoności, rachunki jakieś, bo niczego nie rozumiejąc kłania się on nie zważając czy ktoś jest, czy nikogo nie ma, jeśli tylko zauważy choćby hipotetyczny cień Grubego Najwyższego, a także innych Towarzyszy Wysokich. Którzy, prawdę mówiąc, A.P. powiedział, lubią, jak ktoś przed nimi chodzi na czworakach, jak mniemam.

Notabene wyciągnęłam spod siebie tego jaśka. Nie będę z siebie robiła wariatki. Ani również nie wyraziłam aprobaty, żeby on leżał sobie jak nierób na plecach mając za nic moralność, a ja żebym siedziała na nim, do czego mnie namawiał namolnie. Tak mi proponował bez skutków. Wyrażając się. Cytuję z głowy, że jeśli się rozchodzi o linię, to wszystko może byłoby w porządku, gdyby była prosta, nie w zygaki. Że w Województwie, gdzie z jednej strony Stara Odnowa zamieniana jest na Nową Odnowę, ale po kryjomu uprawiana jest Stara, nie przejmując się wskazaniem, że Starą należy zamienić na Nową.

Po czym ja sobie sama wcisnęłam poduszkę, bo podłogę mam twardą, na dywany mnie nie stać. A on, że w Dole przerabia się Odnowę Wybiórczą, zależnie od potrzeb. W czym Towarzyszowi Grubemu Ukochanemu Naszemu Przywódcy Wojewódzkiemu pomaga swoim obślinianiem rąk Towarzysza Wspomnianego i obsrywaniem Partyjnej Gazety Towarzyszy Redaktor Szymon Chałata. Cytuję: pluskwa spacerująca tam i nazad po żywym ciele społeczeństwa, pracującego przy przerabianiu Starej Odnowy na Nową Odnowę mozolnie, hodowca szczurów. Koniec cytaty. Który nie dorósł do samego siebie, nie mówiąc o pierwszym lepszym szczurze.

W tym momencie mnie wzięło, bo żaden człowiek nie jest

na tyle polityczny i uświadomiony dogłębnie, żeby go się nie dało wprowadzić w błąd na tapczanie, gdzie przenieśliśmy się z powodu twardości podłogi. A gdy doszłam do siebie, domyśliłam się, że Adama P. nie ma na tapczanie, bo ręką pomacałam i nie wyczułam. Więc otworzyłam oczy i widziałam, jak robi stójkę do góry nogami pod ścianą. Cytuję z pamięci: cała krew zebrała mnie się w dolnych partiach i trzeba wyrównać. Na golas. Pomyślałam: zwariował i zapytałam, czy dobrze się czuje, mam w torebce nervosol. Odpowiedział nie zmieniając pozycji i świecąc golizną uwiędła, cytuję: Tak, azaliż zdrowy na umyśle człowiek stawałby na głowie? Usnął do góry nogami.

Ach, ach, utkwiła w fotelu.

Milcząc próbowała zastanowić się, co mogłaby zrobić, żeby go obudzić, kiedy plasterki schną na talerzu, a jajecznicza wystygła.

– Jutro będą chować te dwa szkielety, co je znaleźli w lesie, dokładnie poobgryzane przez wielkoleśną naszą odmianę mrówek. Ma być pogrzeb z proboszczem Kłonicą i z kościelnym Szlajem na czele – powiedziała. Ale on mimo to nie obudził się, zdroniony był, padł i ani w tę, ani w tamtą stronę nie udało się go poruszyć.

Śnił mu się własny pogrzeb. Narysowany przez jakiegoś drugoklasistę na dużej kartce leżącej w samym kącie kuchni. Powiedział:

– No to spieprzam stąd – i pozbawiony ciężaru Adam Pan unosi się i bez trudności oddala od siebie. Z lekka poruszając czymś, co mogło być wyobrażeniem skrzydeł, leci pomiędzy słonecznym niebem, możliwym w takiej intensywności jedynie na obrazkach, kiedy jest się nad zielonymi łąkami, na których tu i tam widać polskie, kolorowe miasteczka z dziecięcymi obrazków porzucanych na podłodze w kuchni nauczycielki, cierpiącej Orchidei, których w rzeczywistości nie ma.

Te miasteczka, ulice i zaułki, domy i podwórka, parki, kościoły i kawiarenki, w niczym nie przypominały miasteczek, które widział, bowiem ich zaskakujące formy i ostro kontrastujące ze sobą kompozycje kolorystyczne mogłyby być ewentualnie jedynie w zgodzie z kanonami sztuki prymitywnej, czy też naiwnej, ale nie sztuki urządzania świata, budowania miast i domów, nawet tej wyzywająco nowoczesnej, zaludniały postacie wyposażone w ludzkie twarze, ubrane w to, co sprzedaje się we współczesnych sklepach lub magazynach mody, i zachowujące się tak, jak zachowuje się przeciętniak w scenerii miasta obojętnie gdzie ono leży.

W naiwnej baśniowej scenerii miasta snuli intrygi i cierpieli. Poddawali się szaleńczym nastrojom, uczestniczyli w karnawałowych szaleństwach. Zabijali się i rodzili. Sprzedawali kolorowe telewizory albo zegarki kradzione z tirów na nocnych parkingach. Handlowali dyplomami na jarmarkach, jeździli niemieckimi samochodami, gestykulowali na rogach ulic. Walczyli przeciw sobie w standardowych wojnach, których jedynym celem było to, żeby się pozabijać. Latali samolotami, spiskowali, obalali stare i tworzyli nowe rządy, które natychmiast obiecywały podwyżki emerytur, powszechny dostęp do szpitali albo przytułków, po czym natychmiast zaczęli walczyć sami z sobą, rząd z rządem, sejm z sejmem, minister z wiceministrem,

województwa z województwami, zakładać hipermarkety z kompletnymi zestawami ideologii robienia dobrych interesów i sporządzania poglądów na najkorzystniejsze metody zmian Starej Odnowy na Nową Odnowę wraz z projektami ustaw i kodeksów z załącznikami, które sprzedawali we fragmentach, drobnymi akapitami bądź hurtowo, tworząc tym sposobem nowe warstwy społeczne, obalające nieprzydatną już Starą Odnowę i jej rządy oraz organizujące nowe władze Odnowionej Starej Odnowy.

Rozentuzjasmowana zmianami ludność chodziła ulicami tam i z powrotem obnosząc transparenty z hasłami poparcia bądź żądającymi przykładowo ukarania poprzednich rządów za przekupstwa, przywłaszczenia państwowych fabryk, a nawet państwowych pieniędzy w bankach, gdzie miały one być bezpieczne i niedostępne dla złodziei. Pośród których jednym udało się obalić poprzedni rząd i stworzyć własny, a innym, po utworzeniu własnego, też go natychmiast obalić, żeby nikt nie miał czasu i możliwości zorientować się w porę, kto i co ukradł, ile i gdzie to ukrył podejmując jednocześnie w prasie kampanię przeciw powszechnej korupcji. Co na jakiś czas było dostatecznie dobrym parawanem, za którym można było powsadzać wujów na odpowiednie stanowiska, bezrobotne ciotki bez żadnych kwalifikacji, bo jedyne w czym były perfekcyjne, to przesiadywanie w kawiarniach, na doradczyźnie dyrektorów, dobrych znajomych na odpowiedzialnych urządach państwowych, bądź w oddziałach agencji rządowych, w których można było nic nie robić, oprócz starannego pilnowania, żeby w pobliżu nie znalazł się lepszy złodziej i nie próbował nakraść jeszcze więcej.

Szymon Wkrętny tkwił na skrzyżowaniu ulic trzymając w rękach stare prześcieradło pomiędzy dwoma kijami, na którym wypisał hasło: **PRECZ Z RZĄDEM! BEZROBOTNI DO WŁADZY!** A dookoła grupka demonstrantów. Spiskowali i urzędowali, przesiadywali przed monitorami komputerów albo rozkładali na klawiaturach kanapki i jedli starannie w oczekiwaniu na telefony w sprawie nowych dyrektyw. Szli w długich konduktach pogrzebowych, płakali i śmiali się, nic nadzwyczajnego. Egzotyczna ta i bez mała nierealna sceneria, w jakiej to wszystko działa się, istniało i przemijało, rozwijało się i kończyło, w jakiej ci ludzie żyli i umierali, pozbawiała ich naturalnego kontekstu i jednoznaczności. Farsa grana na serio. Tak że kiedy Adam Pan obserwował z wysoka pierwszą lepszą ceremonię pogrzebową, realistycznie, choć nierówno odmalowaną na dużej kartce z bloku rysunkowego, leżącej w kącie kuchni Orchidei, to nie był to pogrzeb w pełnym tego znaczeniu. Nieboszczyk nazwiskiem Adam Pan podważał wieko trumny, siadał w niej sobie wygodnie i z należytą powagą dyrygował orkiestrą lub łąał staruszki fałszujące pieśń religijną. Kościelny Szlaj w białej komży niosący krzyż na czele konduktu w zasadzie zawsze, całą tę drogę od kościoła na cmentarz grał w klasy. Ksiądz proboszcz Kłonica śpiewał zupełnie co innego, niż kościelny Szlaj, co już był pijany oraz cała reszta żałobników i nie były to bynajmniej piosenki nawiązujące do ceremonii. Wszystko to kończyło się sceną z czterema pijanymi grabarzami. Upychali nieboszczyka do trumny, mimo że nie miał on na to ochoty, siłą zmuszali go do przyjęcia pozycji leżącej, głośno wbijali gwoździe w wieko, a następnie długo walili łopatami w kopiec świeżo usypanej ziemi, żeby Adam Pan przestał się wiercić i narzekać. Projekcja, która realizowała się niezależnie od jego woli i którą mógł obserwować bez zbędnych emocji jako widz, któremu przytrafiła się ta wyjątkowa gratka, nie wiadomo w którym momencie angażowała go i on sam grał w niej podwójną rolę. Próbował oponować, pojękiwał, że mu nudno albo że młotki za głośno walą w ciężkie wieko, a jednocześnie miał świadomość nieskuteczności protestu i żeby się nie dać zanudzić albo i zdręzczyć niepotrzebnymi hałasami, dyrygował staruszkami, które nigdy nie nauczą się słów modlitwy dokładnie, Panowie, mówił, ta orkiestra fałszuje i w dodatku gra nie to, co powinna, co było ustalone, że ona będzie grać. To pieśń żałobna miała być, a nie heavy metal.



Erotyk

jak
wąż
wślizgujesz się we mnie
miłosną, pieszczotą,

jak
wulkan
wybucham gorącą lawą
wśród wilgotnych ud

jak
lwica po zbliżeniu
leżę ukojona
cicha bezbronna
mrużąc od czasu do czasu
z rozkoszy

zasypiam

* * *

burza
oszałała
złem naznaczone chmury
oddzielają mnie
od Wysokiego Zamku

tracę ukojenie

złowrogi grzmot
przetacza się zboczami
wstrząsa nimi mną,
życiem
historią

już nic nie słyszę
ogłuchłam

tylko hiena w pobliżu
chichocze
jej nic nie przeszkadza

* * *

dzień w dzień patrzę
przez okno na Wartę
a ona jak gdyby nigdy nic
płynie
wciąż płynie

chciałabym aby choć chwilką
przystanęła

to wtedy opowiedziałabym jej
o swoim życiu
a ona być może zaszemrałaby
o swojej historii

tak wiele w nas podobieństw
choć z innych źródeł początek
że nieprawdopodobnym jest
abyśmy kiedykolwiek spotkały się
u tego samego ujścia

Od Edenu do ogrodów Arkadii

część I

Jesień sprzyja marzeniom! Najczęściej marzymy o tym, by znaleźć się w „krajnie mlekiem i miodem płynącej”, która da nam stan wiecznego szczęścia. Pozornie temat blahy, a jednak w literaturze nader często obecny.

Spójrzmy, jak motyw miejsc szczęśliwych jawił się w dziejach literatury.

Ogród Edenu miejscem szczęśliwym

Biblijny Eden (hebr. Gan Eden nazwa pochodząca z perskiego określenia *paradis* oznaczającego „ogród” lub „ogrodzone miejsce”) to raj stworzony przez naczelnego Ogródnika Boga dla pierwszych ludzi, będących pierwotnie nieśmiertelnymi (Słownik wyrazów obcych, pod red. E. Sobol). Geograficzna nazwa raju – Eden – odpowiada mezopotamskiej nazwie *edinu* oznaczającej równinę czy step. Rajski ogród, będąc początkowo miejscem na ziemi, po grzechu pierwotnym człowiekiem został zabrany z ludzkiej rzeczywistości. Dlatego Pan Bóg wydalil go z ogrodu Eden, aby uprawiał tę ziemię, z której został wzięty. Wygnawszy zaś człowieka, Bóg postawił przed ogrodem cherubów i połyskujące ostrze miecza, aby strzec drogi do drzewa życia (Rdz 3, 23–24).

Co ciekawe, biblijny raj w przeciwieństwie do wyobrażeń islamu, nie jest miejscem związanym z czystym próżniactwem. Stworzony człowiek miał go zasiewać i pielęgnować. Praca jako podstawa, swoisty wyznacznik doczesności, połączenie wysiłku z pilnością – są przypisane naturze ludzkiej.

We wzorcowym rajskim ogrodzie woda płynęła według ściśle geometryczno-symetrycznych zasad, co konotowało symboliczną siłę i odpowiadało idei uporządkowanego kosmosu. Cztery rzeki rajskie to nie tylko symbole życia i obfitości, lecz także wykreślenie czterech kierunków świata, co podkreśla Kobielus, w dziele: „Człowiek i ogród rajski w kulturze religijnej średniowiecza”. Skoro ogród był swego rodzaju centrum, obszarem wydzielonym, to najczęściej otoczony był murem. Symbolika muru rajskiego to wyraźne nawiązanie do zabezpieczenia i osłony przed grzechem, a więc przed złem. Mur jest obowiązkowym elementem budowy ogrodu.

Gdy ludzie zgrzeszyli, zrywając owoce z drzewa mądrogo i złego, zostali z tej rajskiej przestrzeni wygnani. *Od tej chwili jeśli jakieś miejsce spokoju i szczęścia miało zostać urządzone na ziemi, musiało być koniecznie oddzielone od reszty nieszczęśliwego i grzesznego świata* (J. Delemau, Historia raju. Ogród rozkoszy, przekł. E. Bakowska).

W Księdze Rodzaju czytamy: *A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił. Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła.*

A więc Eden to swoisty ogród miłości i mistycznych zaślubin Boga z człowiekiem. To kraina szczęścia, ale i boskiej opatrności.

Gdy raj odzyskany utracił swój pierwotny charakter miejsca w sensie geograficznym, przeistoczył się przede wszystkim w stan odnoszony do ludzkiej duszy lub wspólnoty Koś-

cioła. Same opisy literackie nie uległy jednak zmianie, gdyż ogród rajski nadal opisywano jako miejsce plastycznie zobrażowane. W Koranie opartym na idei Ksiąg Starego Testamentu, znajdziemy słowa poświęcone ogrodom: *zaprawdę, Bóg wprowadził tych/ którzy uwierzyli i pełnili dobre dzieła/ do Ogródów, gdzie w dole płyną strumyki* (Koran, Sura XLVII 12, przekł. J. Bielawski). To Ogrody obfitujące w strumyki mleka, wina i miodu są więc nagrodą za dobre życie. Celowo używam liczby mnogiej, gdyż tych ogrodów w surach Koranu jest osiem. Kultura Arabów sprzed VI tysiąclecia p.n.e. to eschatologia muzułmańska, podobna w swojej istocie do chrześcijańskiej. Jest to swoisty prototyp ogrodu-wyspy spokoju, miejsca ucieczki i odizolowania od otoczenia, pewne wyobrażenie. Pustynie służyły bowiem pobożnym ludziom do oddawania się głębokiemu medytowaniu oraz ascezie. Nie był to więc niebiański raj – wypełniony radością. To nie oaza dobrobytu, lecz miejsce ubogie i surowe w charakterze. Swoista szkoła charakteru, a nie miejsce szczęśliwe.

Ogród Arkadii czyli locus ameanus

Arkadia to zamknięta łańcuchami górskimi kraina na półwyspie Peloponez w Grecji, zamieszkała w starożytności przez pasterzy. Od czasów poety rzymskiego Wergiliusza i jego sielanek bukolicznych aż do romantyzmu uchodziła za krainę pierwotnej, idylliczno-patriarchalnej, „pasterskiej” szczęśliwości. Jednakże pierwszy opis Arkadii, który zawdzięczany Pausaniaszowi z utworu „Wędrówka po Helladzie”, daleko odbiega od emblematycznego obrazu rozpoznawalnego dzisiaj. Ciekawie pisze o tym Sokołowska w dziele: „Dwie nieskończoności. Szkice o literaturze barokowej Europy”: *Jaka była geneza symbolicznego obrazu, którym się stała grecka Arkadia? Ziemia kamienista, o ubogiej roślinności, zamieszkała przez pasterzy, uzyskała w literaturze europejskiej szczególny rodzaj nobilitacji: stała się symbolicznym obrazem idealnego kraju, w którym panowało zarówno piękno, jak i rozkosz, a szczęście tej wymarzonej krainy łączyło się z wyobrażeniem łagodnej melancholii.*

A więc nie opis Pausaniasza stanowił wzór motywu, lecz raczej sielanki Teokryta, obrazujące świat idealny, zamieszkały przez pasterzy żyjących w łagodnym klimacie, w kraju obfitującym w zieloność i płody ziemi. Jednak ostateczny kształt literacki jako obraz, a właściwie symbol Arkadii zawdzięcza dopiero literaturze starożytności, szczególnie Wergilemu i Owidiuszowi (J. Olejniczak, Arkadia i Małe Ojczyzny). Poza wymienionymi wcześniej twórcami dzieje mitycznej krainy przedstawiali także: Apollodoras, Hyginus, Homer, Plutarch i Teokryt.

Mityczne krainy szczęśliwości

Analogicznymi krainami do Arkadii, innymi światami mitycznymi były: Nawia, Tlalecan, Parnas, Ogród Hesperyd, Pola Elizejskie, Atlantyda, wyspa Leuke, Wyspy Blestu, Avalon, Horaisan, Uttarakuru, Ynisvitrin – Wyspa Szklana, czy Glasberg – Szklana Góra. Owe mity wskazują ludziom drogę, którą należy kroczyć, dążąc do uzyskania szczęścia.

Nawia krainą szczęśliwych duchów

Miejscem, w którym poczucie szczęścia uzyskiwały duchy, w mitologii słowiańskiej była Nawia, która symbolizowała to, co niejawne, gdyż była krainą podziemną, krainą rzeczy nadprzyrodzonych. Tam miały podążać dusze zmarłych, by w szczęśliwości spędzać czas. Opiekę nad tą krainą sprawował Wales – bóg magii, sztuki oraz bogactwa. Co ciekawe, także w mitologii Azteków spotykamy krainę rajską zwaną Tlalecan, do której udają się umarli, jednakże tylko dusze ludzi, których śmierć związana była z żywiołem wody. Te dusze *udawały się do rajy boga Tlaloca i tam, w ogrodzie pełnym bujnej roślinności, spędzały beztrosko czas* (M. Frankowska, Mitologia Azteków).

Pola Elizejskie miejscem spoczynku bohaterów

Motywy miejsca szczęśliwego są greckie Pola Elizejskie, na które po śmierci odchodzili najlepsi. Rzymski poeta Horacy nazywał je *arrive beata* czyli *pola szczęśliwe*. Słynny cykl arturiański nawiązuje do wielu starych wątków celtyckich – także do wątku „krajiny błogosławionej”, którą jest tu wyspa Avalon, zwana Wyspą Jabłek. To tam miał popłynąć po śmierci król Artur, tam też według niektórych wersji mitu miał się znajdować słynny Święty Gral (J. Żak–Bucholc, Raj – od mitu do utopii, w: „Problemy Psychologii i Kultury” nr 2, 2002). W „Odysei” pisał o nich Homer, a w „Eneidzie” Wergiliusz. *Ludzie prowadzą tam życie łatwiejsze niż gdziekolwiek indziej na świecie, bo w Elizjum nie ma deszczu, gradu ani śniegu, a ocean dmucha tam zachodnim wiatrem, który śpiewa miękko od morza i daje wszystkim ludziom nowe życie.* To kraina zaświatów dla wybrańców.

Atlantyda wciąż poszukiwana

Mityczna Atlantyda opisana przez Platona, należąca do boga wód i oceanów Posejdona, a mająca za króla jego syna Atlasa, to bogata w roślinność i złoża naturalne kraina. Jej miasta olśniewały przepychem, liczebnością świątyń i sprawną siecią wodociagową. Herodot przypisał nawet ludziom żyjącym na Atlantydzie niezwykle umiejętności: moce nadprzyrodzone, zdolności telepatyczne, niezwykłą pamięć czy umiejętność lewitacji (porównaj: Encyklopedia magii, pod red. M. Krogulskiej i J. Podlaskiej). Wszystko uległo jednak zagładzie. Niektórzy badacze tej tematyki stwierdzają, że przyczyną zagłady Atlantydy była kara za złamanie panujących tam zasad, gdyż swe wspaniałe umiejętności zaczęli Atlanci wykorzystywać w złych celach, co doprowadziło do trzęsień ziemi i kilku potopów. Stało się to podobno około 200 000 lat p.n.e. Ciekawie piszą o tym młodzi: A. Crowley w dziele: „Atlantyda – zaginiony kontynent”, przekł. D. Misiura, Warszawa 2003; F. Joseph, „Zagłada Atlantydy”, przekł. A. Kowalska.

Ogród Hesperyd

Największą sławą wśród mitów o rodowodzie grecko-rzymskim cieszył się ogród Hesperyd na stokach Atlasu na krańcach Zachodu, porośnięty owocami przywracającymi młodość i siły. Pisał o nim przede wszystkim Hezjod, grecki poeta żyjący w VII wieku p.n.e. Podobnym w charakterze miejscem był muzułmański rajski ogród Dżanna, kraina piękna i bogata, gdzie każdy miał własny pałac i wszelkie luksusy (porównaj: Zaświaty i krainy mityczne, pod red. M. Sacha-Piekło).

Wyspy Szczęśliwe

Ciekawy obraz mitologemu Wysp Szczęśliwych przedstawił w szesnastym epodzie Horacy, umieszczając je na Oceanie:

Morze czeka tam nas, co błonia szczęśliwe opływa, tam śpieszmy do tych błoni i bogatych wysp! Rola daje tam plon corocznie, choć pług jej nie rusza, bez obcinania kwitnie winorośli pęd (...). Z dębu wyźłobień tam miód wypływa, a pluszcząc krynica pospieszną stopą w dół stoków skacze gór:

dokończenie w następnym numerze

* * *

Droga: żmija gniewosz padalec
Pełźnie bezszelestnie zygzakiem
Jak po baranich rogach

Jest zamieć
Pełnia księżycza
Przybiera morze

Podchodzi do rzek
Cofa je

Znikają w nich
W odchłaniach jaskiń
Cofa je do źródeł

W tysiącach wypływów
Z nieznanego w nieznanne
W najdalszą oddal
Aż do zatracenia się

Moja droga:
Mnichy jazie tamy
Łachy zakola
Kolana

Po drodze:
Chude szczupaki
Samotni kameduli
Wycierają o piasek łuski
Do szarości bieli

Ich nieruchome spojrzenia
Zimne księżycze
Spadające meteory

Na wodzie plusk
Obręcz dźwięków
Zatacza kręgi

Pod nogami wciąż ta sama droga
Żywy oddech
Tchnienie

Inna woda

* * *

Horyzont idzie we mnie
Idzie ze mną
Jak płaskodenna barka płynie
Jak łódź pradoliny

Pcham go przed sobą
Jest ciężki od widoków
Od drzew domów
Od ciszy
Nieprzystępny
Nie do dojsćcia

W pamięci
Mozaiki jego okruchów
Chata pod strzechą
Bociani klekot
Zapadnięta studnia

Zmienia się za każdym krokiem
Trwa tam gdzie
wzrokiem dosięgam

Kiedys stało tam morze
Wielkie jezioro odbite od nieba
Dzisiaj warzą tam sól

Idę po jego dnie
Stąpom po szkieletach
Po bursztynach
W nich zakłete relikty przeszłości

Kiedys rósł tam las

Oddalam się
Wszystko żywe idzie

Pola ciężarne
Milczenie kamieni
Żuraw
Co w niebo wzbił się przy studni

Pełnie syk węża
Ogon jaszczurki
Ścieżka
Ja



Kazimierz Furman

Urodził się 20 maja 1949 r. w Jędrzejowie koło Piły. Ukończył LO w Gorzowie. Przez kilka lat mieszkał w Santocku. Debiutował w „Nadodrzu” w 1974 r. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Gorzowa (1996) i Nagrodę Kulturalną Wojewody Gorzowskiego (1996). Książkę „Odmienne stany świadomości” uznano za najlepszą książkę poetycką 1998 r. i uhonorowano Lubuskim Wawrzynem Literackim. Otrzymał bardzo dużo nagród w ogólnopolskich konkursach poetyckich. Wydał tomiki poezji (wszystkie w Gorzowie): „Powrót do osłupienia” (1976), „Kształcenie pamięci” (1980), „Drzewo grzechu” (1989), „Kalendarz polski” (1993), „Doświadczenie obecności” (1993, 1997), „Wiersze” (1995), „I jeszcze nic nie wiem” (1998), „Odmienne stany obecności” (1998), „Autoportret z drugiej ręki” (po polsku i po niemiecku w tłumaczeniu Karin Wolff, 1999), „Drzewo grzechu +” (2000). Bardzo wiele jego wierszy i opowiadań ukazało się na łamach czasopism i antologii. Od czerwca 2004 członek ZLP.

Most

– Szybko to idzie, co?
– Przychodzę tu, panie, codziennie. Aż miło patrzeć jak się robota posuwa. Kiedy to mają skończyć?

– W przyszłym roku. Na początku.

Dwaj starsi mężczyźni stali wsparci o balustradę i przyglądali się budowie mostu. Podczas kolejnych dni dołączyli do nich kolejni gapię, zwykle starszankowie, którzy korzystając z ładnej pogody przychodzili obserwować budowę. Budowa mostu, choć sama w sobie interesująca, dawała okazję do spotkań i wymiany opinii i wrażeń. Pojawiały się nawet rozkładane krzeselka, dzięki którym obserwatorzy mogli dłużej wytrwać na swych obserwacyjnych posterunkach.

Z czasem uformowała się całkiem spora, kilkunastoosobowa grupa bardziej i mniej stałych świadków postępującej budowy. Nierzadko obserwatorzy tkwili nad rzeką do późnego wieczora, gestykulując i głośno komentując inżynierskie problemy budowy mostów, na których znali się wszyscy. Jedynym mankamentem był brak aprowizacji, który co słabsze natury wyganiał przedwcześnie do domów, pozbawiając ich intelektualnych i wizualnych podniet, którymi karmili się od dłuższego czasu. Trudno się więc dziwić, że zaraz też któryś z bywalców przymostowych spotkań wykorzystał bolesny niedostatek i ustawił kilka stolików i krzesel ocienionych rozłożystymi parasolami, serwując zapiekanki z pieczarkami i wodę mineralną. Teraz liczba bywalców szybko urosła, a czas ich wytrwałych obserwacji i debat znacząco się wydłużył.

Niebawem nieformalny klub miłośników budowy mostu uzyskał możliwość udoskonalenia metod obserwacji. Jeden z klubowiczów ustawił trzy stanowiska obserwacyjne wyposażone w lornetki. Za skromną opłatą udostępniał przyrządy optyczne zachwyconym obserwatorom. Z czasem przybyły trzy kolejne stanowiska, co i tak z trudem zaspokajało potrzeby rozwijającego się towarzystwa obserwatorów mostu. Właściwie liczna grupa niepostrzeżenie sama siebie zaczęła nazywać towarzystwem, co, w ich odczuciu, nadawało im posmak jakiejś dawnej patyny i świetności. W końcu nadszedł moment, w którym Towarzystwo postanowiło ukonstytuować nieformalną dotąd grupę, wybierając spośród swego grona przewodniczącego, skarbnika (uprzedzając ewentualne przyszłe wydatki) oraz kronikarza, który odtąd skrzętnie odnotowywał codzienne obserwacje i komentarze.

Towarzystwo dość szybko zwiększało swoją liczebność. Wśród stałych członków – obserwatorów, jak zaczęli siebie nazywać w odróżnieniu od zwykłych, przypadkowych i niezorganizowanych gapiów, byli nie tylko mieszkańcy nawet najbardziej odległych dzielnic, ale także obserwatorzy spoza miasta. Toteż ku entuzjazmowi wszystkich zgromadzonych na pierwszym walnym zebraniu Towarzystwa, które odbyło się na odrestaurowanym bulwarze, uchwalono wystosowanie petycji do władz miasta o budowę przystanku autobusowego w bezpośrednim sąsiedztwie mostu oraz wytyczenie specjalnej linii autobusów, która obsługiwałaby liczną grupę obywateli – miłośników obserwatorów budowy mostu.

Jednocześnie zaczęto wydawać legitymacje członkom Towarzystwa, aby w razie potrzeby można była udokumentować swoją przynależność do organizacji oraz jednokartkowy biuletyn publikowany raz w tygodniu. W tym samym czasie pojawił się też specjalny hotel (tylko dla członków Towarzystwa) w nadbrzeżnej kamienicy, w którym obserwatorzy mogli z okien śledzić prace przy moście także w nocy. Ci, którzy skorzystali z tej możliwości, twierdzili, że to zupełnie nowy rodzaj doznań i gorąco zachęcali innych do nocnej obserwacji.

Organizacja z dnia na dzień stawała się prężniejsza, przybywało członków, rodziły się nowe inicjatywy, kreślono dalekosiężne plany rozwoju, i wówczas ktoś, zupełnie niechętny, napomknął o końcu mostowej inwestycji. Zapadła cisza, zgromadzeni w jednej chwili dojrzeliby rysujące się niebezpieczeństwo, upadek z takim entuzjazmem budowanej idei obserwacji.

Czy Towarzystwo pogodzi się z klęską i w dniu oddania mostu do użytku ulegnie samorozwiązaniu? Czy też przerodzi się w coś innego, w jakąś nową jakość? A może zwycięży koncepcja garstki zdeterminowanych ekstremistycznych emerytów, którzy domagają się wysadzenia mostu, by móc od nowa obserwować jego budowę? Zobaczymy za kilka miesięcy. Bądźmy dobrej myśli.

Gorzów, przy staromiejskim moście, 17.09.2006 r.

Instytucje literackie w Gorzowie Wielkopolskim w latach 1945 – 2005

(część I)

Z chwilą zakończenia działań wojennych i rozpoczęciem fazy zasiedlania ziem poniemieckich ludność napływowa zaczęła organizować życie społeczne, religijne, zawodowe i administracyjne nowego regionu, a z czasem także kulturalne i artystyczne, zwłaszcza w dwu największych ośrodkach lubuskich, do których należała Zielona Góra i Gorzów Wlkp., liczące po II wojnie około 25.000 mieszkańców. W Gorzowie osiedlają się Włodzimierz Korsak – uznany już przed wojną pisarz pochodzący z ziemi wileńskiej, twórca książek przyrodniczych i przygodowych, członek ZZLP oraz twórcy-amatorzy w osobach nauczycielek i dziennikarek – Natalii Bukowieckiej, Janiny Jaczewskiej, Teresy Perzanowskiej, które przeważnie debiutują na łamach prasy powojennej.

W wir tworzenia gorzowskiego życia artystycznego włączają się powstające spontanicznie organizacje społeczne, instytucje i placówki publiczne oraz redakcje mutacji gazetowych. W 1945 roku uruchomione zostaje Muzeum Ziemi Lubuskiej, które dwa lata później organizuje wystawę prac osiadłych w Gorzowie i okolicy artystów. Powstają także teatry amatorskie, na gruncie których w 1946 roku zainaugurował działalność zawodowy Teatr Miejski im. J. K. Korzeniowskiego (w 1946 roku przy ośmiu wielosekcyjnych Domach Ludowych istniały aż 22 grupy teatralne, skupiające 321 członków i aktorów). W 1945 roku istniała już w Gorzowie orkiestra symfoniczna, chór działający w Bogdańcu oraz 11 sekcji śpiewaczych, 3 muzyczne i 3 biblioteki. W październiku 1945 r. działać zaczęło gorzowskie Towarzystwo Przyjaciół Ziem Zachodnich, z inicjatywy którego Korsakowie założyli Koło Towarzystwo-Literackie, organizując „Środy Literackie”, podczas których recytowano wiersze, czytano opowiadania i urządzano koncerty muzyczne. Współorganizatorem tych imprez był działacz społeczny Edmund Grudziński – założyciel Towarzystwa Przyjaciół Ziem Zachodnich oraz istniejącej w latach 1946–48 gorzowskiej ekspozytury Polskiego Związku Zachodniego.

Wśród wielu tworzących się w tamtych latach placówek i instytucji kulturalnych warto wymienić także Towarzystwo Przyjaciół Miasta Gorzowa oraz „Koło Żywego Słowa – Czytelnik”, którym kierowała nauczycielka i poetka Janina Jaczewska. Gorzowskie koło zajmowało się popularyzacją literatury, organizowaniem recytacji wierszy oraz wieczorów autorskich, na których w latach 1945–49 w Gorzowie i innych miastach lubuskich gościli m. in. W. Broniewski, J. Brzechwa, A. Fiedler, G. Morcinek, J. Andrzejewski, J. Iwazskiewicz, E. Paukszta i S. Hebanowski.

Gorzów, będąc do końca lat czterdziestych najbardziej znaczącym ośrodkiem kulturotwórczym na Ziemi Lubuskiej, stanowił także lokalne centrum prasowe, w którym mieściły się redakcje wielu gazet. Wraz z odzyskaniem wolności na lubuskim rynku prasowym pojawiło wiele tytułów gazet i czasopism drukowanych zarówno w Poznaniu – stolicy województwa, jak i w Gorzowie. W czerwcu 1945 r. ukazała się pierwsza na Ziemi Lubuskiej polska gazeta – tygodnik informacyjno-polityczny „Ziemia Gorzowska”, wydawany przez Powiatowy Oddział Urzędu Informacji i Propagandy. Od października tegoż roku tygodnik zmienił nazwę na „Ziemia Lubuska”. Potem pojawiło się kilka lubuskich mutacji prasy poznańskiej i wrocławskiej, których oddziały redakcyjne w latach 1945–49 utworzone zostały w Gorzowie. W miejsce zlikwidowanej „Ziemi Lubuskiej” powstała w 1947 r. „Gazeta Lubuska”, która była mutacją drukowanej w Bydgoszczy „Gazety Zachodniej”. W 1946 roku powstał w Gorzowie oddział „Głosu Wielkopolskiego”, na łamach którego w 1949 r. debiutowała Natalia Bukowiecka z pierwszą lubuską powieścią pt. „Rubież”, drukowaną w odcinkach (powieść ta nosiła pierwotnie tytuł „Biała plama”, natomiast pod tytułem „36 pełnomocnik” drukowana była jeszcze w latach sześćdziesiątych w miesięczniku „Odra”, wydania książkowego zaś doczekała się dopiero w 1998 roku właśnie pod tytułem „Rubież”, opublikowana została pod nazwiskiem Natalii Bukowieckiej-Kruszony).

Niemal równocześnie z powstaniem oddziału redakcji „Głosu Wielkopolskiego” utworzony został w Gorzowie oddział wrocławskiego „Słowa Polskiego”, a lubuskie mutacje posiadały jeszcze „Ekspres

Poznański” i „Kurier Wielkopolski” (zamieszczający specjalną kolumnę zatytułowaną „Kurier Lubuski”). Redagowaniem lubuskiego „Kuriera” zajmował się Mieczysław Turski – jedyny zawodowy dziennikarz mieszkający na Ziemi Lubuskiej w latach czterdziestych. Obie gazety poznańskie przetrwały do 1950 roku. W Gorzowie od 1945 r. ukazywały się również czasopisma religijne i biuletyny urzędowe kurii biskupiej, które także podejmowały tematykę społeczno-polityczną regionu. Kuria była wydawcą czterech pierwszych książek o tematyce religijnej wydanych w 1945 roku. W latach 1946–1953 nakładem Niższego Seminarium Duchownego wydawano „Tygodnik Katolicki” (1946–1953), który był pismem religijnym adresowanym do mieszkańców Ziem Odzyskanych, ukazywał się też „Mały Tygodnik” – pismo przeznaczone dla dzieci i młodzieży.

Pierwsze utwory literackie autorów lubuskich zamieścił z początkiem drugiej połowy lat czterdziestych tygodnik „Ziemia Lubuska”. Były to wiersze Janiny Jaczewskiej, która publikowała już swoje wiersze w okresie okupacji w prasie konspiracyjnej, a po wojnie kilka jej wierszy znalazło się w ogólnopolskiej antologii „Poezja czasu wojny”. Utwory paraliterackie zamieszczały także inne gorzowskie periodyki religijne: „Tygodnik Katolicki” i „Kalendarz Ziem Odzyskanych”, które nie różniły się poziomem od przeciętnych wydawnictw dewocyjnych.

Wraz z utworzeniem na ziemiach odzyskanych w czerwcu 1950 r. trzech nowych województw, w tym zielonogórskiego z siedzibą władz administracyjnych w Zielonej Górze, Gorzów został sprowadzony do roli powiatu i od tej pory życie kulturalne miasta zaczęło zanikać. Rozwiązano lub przeniesiono do stolicy województwa redakcje gazet, zlikwidowano większość placówek kulturalno-oświatowych i instytutów naukowo-badawczych, jakie do 1950 roku zakładano w Gorzowie. Inteligencja gorzowska, zwłaszcza dziennikarze, plastycy, naukowcy i działacze społeczni również imigrowała w kierunku stolicy województwa lub większych ośrodków miejskich, głównie do Szczecina, Poznania lub Wrocławia.

W 1945 roku z nakazem pracy przybyli na Ziemię Lubuską, obok Włodzimierza Korsaka i Janiny Jaczewskiej, również Zdzisław Morawski, Irena Dowgielewicz, a z transportem repatriantów Zygmunt Trziszka, z taborem cygańskim zaś wędrowała po tym terenie pierwsza cygańska poetka, Bronisława Wąjs-Papusza. Korsak osiadł w Gorzowie, gdzie pracował jako łowczy w Dyrekcji Lasów Państwowych; Dowgielewicz – przedwojenna debiutantka przebywała po 1945 r. w Witnicy, pracując jako dyrektorka fabryki mebli, następnie przeniosła się do Gorzowa, pracując w zarządzie fabryki; Morawski, będąc od 1945 r. członkiem PPR, najpierw brał udział w walkach grup operacyjnych (walka z podziemiem i ochrona referendum), następnie, w latach 1947–51, pracował w aparacie partyjnym jako instruktor i sekretarz KM PPR w Gorzowie; Trziszka po skończeniu nauki podjął pracę nauczyciela w szkołach wiejskich w powiecie gorzowskim i strzeleckim (Kłodawa, Jastrzębnik, Ulim); Papusza osiedliła się początkowo w Nowej Soli, potem zamieszkała w Żaganianiu, a w dwa lata po debiucie w „Nowej Kulturze” w 1953 r. przeniosła się do Gorzowa. Wszyscy oni w latach późniejszych stali się członkami zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Pod koniec lat 50. po studiach rolniczych we Wrocławiu osiedlił się w Gorzowie również Florian Nowicki, który debiutował prozą w piśmie „Zwycięzcy” w 1944 roku. W tym okresie na terenach odzyskanych zamieszkują też inni, późniejsi ludzie pióra, którzy osiedlają się w mieście nad Wartą po ukończeniu studiów, jak Henryk Ankiewicz, Zenon Łukaszewicz, Henryk Krysiak, Kazimierz Wachnowicz czy Inuła Schabowska, należący do założonego w grudniu 1961 r. zielonogórskiego Klubu Literackiego LTK. Jednakże zręby lokalnego środowiska literackiego powstawać będą w ówczesnej stolicy regionu, czemu sprzyjało zawiązanie organizacji pisarskich (sekcje i kluby) działające pod egidą ZLP i LTK oraz zdecydowanie większe możliwości wydawnicze i prasowe („Ziemia Lubuska”, „Gazeta Zielonogórska”, „Nadodrze”). Z chwilą uruchomienia oddziału Związku Literatów Polskich w Zielo-

nej Górze w struktury jego działalności włączyli się gorzowscy literaci – Włodzimierz Korsak i Zdzisław Morawski (członkowie od 1961 r.), Irena Dowgielewicz i Bronisława Wajs–Papusza (przyjęte w 1962 r.).

Gorzowscy autorzy zasilaający szeregi zielonogórskiego oddziału ZLP otrzymywali w tym okresie wiele wyróżnień. Lubuską Nagrodą Kulturalną przyznawaną od 1957 r. przez Wojewódzką Radę Narodową w Zielonej Górze uhonorowano Papuszę w 1958 r., W. Korsaka w 1964 r., I. Dowgielewicz w 1968 r., Z. Morawskiego w 1970 r. i F. Nowickiego w 1972 r. Z kolei przyznawaną od 1964 r. przez redakcję „Nadodrza” nagrodą kulturalną za osiągnięcia artystyczne na niwie literackiej wyróżniono W. Korsaka (1969), Z. Morawskiego (1985) oraz I. Dowgielewicz (1986). Natomiast Nagrodę Kulturalną Prezydenta Gorzowa przyznano I. Dowgielewicz (1967), W. Korsakowi (1967 i 1968), Z. Morawskiemu (1968) oraz F. Nowickiemu (1972).

Mimo degradacji administracyjnej i umysłowej Gorzowa, nie dał się on zepchnąć do roli prowincjonalnego partykularzyka. Na przełomie lat 50. i 60. do ważniejszych inicjatyw społeczno-kulturalnych i oświatowych w mieście zaliczyć trzeba funkcjonowanie Gorzowskiego Towarzystwa Etnograficznego (1964), Gorzowskiego Towarzystwa Przyjaciół Kultury (1956-1960), uruchomienie gazety zakładowej w Stilonie „Głos Chemika” (1954-56), powstanie Teatru im. J. Osterwy, (1960), a w dalszej kolejności zainauguowanie w 1967 r. Gorzowskich Konfrontacji Kulturalnych oraz uruchomienie w 1971 r. filii poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Instytucje te również w dużym stopniu sprzyjały integracji warstwy intelektualnej miasta oraz tworzeniu się fermentu naukowego i artystycznego.

W marcu 1961 roku z inicjatywy młodych twórców gorzowskich zawiązano ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych przy Zarządzie Powiatowym ZMW. Działalność w nim podjęli młodzi, często debiutujący pisarze – Zygmunt Trziszka, Zenon Łukasiewicz, Czesław M. Czyż, Władysław Łazuka, Zenon Łukasiewicz, Florian Nowicki, Zbigniew Ryndak, Wincenty Zdzitowiecki. Przewodniczącym ośrodka KKM w latach 1961–62 był Zygmunt Trziszka. Członkowie KKM w Gorzowie Wlkp. w latach 1961–1962 wydali dwa numery jednokrotności literackiej „Nadwarcie”, stanowiącej dodatek do gazety zakładowej „Stilon Gorzowski” (red. naczelny Zenon Łukasiewicz). Jednokrotność, będąca organem gorzowskiego KKM, liczyła cztery strony, a jej pierwszy numer ukazał się w grudniu 1961 roku. Redaktorem naczelnym pisma był gorzowski fotografik Waldemar Kućko, natomiast skład redakcji uzupełniali: Z. Łukasiewicz, Z. Trziszka, Z. Łukomski i U. Macińska. Na łamach „Nadwarcia” wiersze i opowiadania ogłaszała m. in. H. Ankiewicz, Cz. M. Czyż, F. Nowicki, Z. Trziszka, Z. Łukasiewicz, T. Mazur, J. Wawrzyniak i W. Zdzitowiecki. W 1961 roku w „Nadwarcu” opowiadaniem „Jesień” zadebiutował Z. Trziszka. Trzeci numer pisma, mimo iż był już przygotowany do druku, nie ukazał się z powodu trudności finansowych. Korespondencyjny Klub Młodych przy Związku Młodzieży Wiejskiej w Gorzowie Wlkp. istniał do 1962 r., kiedy ośrodek KKM przeniesiono do Zielonej Góry, a wraz z nim do stolicy województwa wyemigrowali Z. Łukasiewicz, H. Ankiewicz i Z. Trziszka, podejmując pracę w redakcjach lokalnych gazet. (Na łamach „Stilonu Gorzowskiego” w latach 60. i 70. ukazywały się jeszcze okienka poetyckie lub kolumny wierszy, gdzie swoją twórczość prezentowali poeci gorzowscy, często związani z gorzowskimi zakładami pracy, np. Tadeusz Szyfer, który debiutował fraszkami w 1964 r.).

Ruch literacki w Gorzowie ponownie zamarł, a próby jego ożywienia podejmowali w latach 60–tych członkowie dwóch nieformalnych grup o charakterze towarzysko-artystycznym – Grupy GO i „Stolik Numer Jeden”, skupiające gorzowskich intelektualistów. Grupa GO powstała w pierwszej połowie lat 60. w Gorzowie Wlkp., po likwidacji Gorzowskiego Towarzystwa Przyjaciół Kultury. Do grupy należeli literaci, publicyści, plastycy, fotograficy, naukowcy, nauczyciele. Z literatów do grupy „GO” należeli m. in.: Florian Nowicki i Zdzisław Morawski. W połowie lat 60. grupa „GO” zaprzestała działalności, a zastąpiła ją grupa pod obiegową nazwą „Stolik Numer Jeden”. Pełniła ona rolę kulturotwórczą, skupiając w swych szeregach literatów i artystów. Miejschem spotkań była kawiarnia „Letnia”, a od 1965 r. Klub MPiK w

Gorzowie, później zaś Klub Myśli Twórczej. Członkowie grupy zainicjowali powstanie Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w 1970 r. Z chwilą rozpoczęcia działalności przez Klub Literacki GTS-K i inne sekcje twórcze Towarzystwa, grupa uległa rozwiązaniu. Członkami grupy byli m. in.: Florian Nowicki, Zdzisław Morawski i Jan Korcz.

Klub Literacki Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego zainicjował działalność w 1970 r. Członkowie Klubu Literackiego od 1971 r. wydawali jednokrotność „Ziemia Gorzowska” (przekształconą w 1980 r. w tygodnik), na łamach której debiutowali młodzi poeci z Gorzowa i okolic oraz publikowano utwory miejscowych pisarzy. Towarzystwu udało się też wzorem zielonogórskiego LTK uruchomić własną serię arkuszy poetyckich, której inicjatorką była sekretarz Towarzystwa – Anna Makowska-Cieleń. W ramach serii arkuszy GTS-K w 1976 r. ukazały się poezje K. Furmana „Powrót do osłupienia” i S. Plewińskiej „Polny kwiat”. Prezesem klubu został: Florian Nowicki, a członkami m.in. Stanisława Plewińska z Deszczna, Czesław M. Czyż z Górek Noteckich, Kazimierz J. Furman z Santocka, Jan Gross, Władysław Łazuka z Choszczna, Zdzisław Morawski i Janusz Olczak ze Skwierzyny.

Gorzowski ruch umysłowy i kulturalny pobudzony został po 1975 roku z chwilą awansu administracyjnego miasta, wyniesionego do stolicy województwa po ponownej reorganizacji mapy politycznej kraju i zwiększeniu liczby województw z 17 do 49. Gorzów, funkcjonujący dotąd w świadomości społecznej jako miasto przemysłowe z silnym środowiskiem robotniczym, na nowo stał ważnym ośrodkiem kulturalnym, a z czasem i naukowym oraz akademickim. Na fali boomu artystycznego intensyfikują się wszelkie inicjatywy społeczne, zawiązują się nowe organizacje twórcze, reaktywują się stare, do życia powołane zostają różnorodne placówki kulturotwórcze (Klub Pracy Twórczej, następnie Klub Myśli Twórczej „Lamus”, Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne, Wojewódzki Dom Kultury, Gorzowskie Towarzystwo Fotograficzne, orkiestra „Odeon”, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Gorzowskie Towarzystwo Naukowe, Pracownia Sztuk Plastycznych, ZPAP, salon Biura Wystaw Artystycznych, pojawiają się czasopisma i periodyki „Ziemia Gorzowska”, „Leksykon Gorzowski”). Dynamizm ówczesnego życia kulturalnego zaowocował powstaniem w 1976 roku kolejnych organizacji i instytucji literackich – Klubu Literackiego GTK, Klubu Robotników Piszących przemianowanego następnie w RSTK oraz wznowieniem działalności ośrodka KKMP, a także pobudzeniem życia pisarskiego na wsi, zwłaszcza w podgorzowskiej Przytocznej, gdzie odbywały się z inicjatywy GTK, biblioteki wojewódzkiej i Stowarzyszenia Twórców Ludowych Ogólnopolskie Przeglądy Dorobku Kulturalnego Wsi (1978–1980), zakończone wydaniem dwóch zbiorowych publikacji książkowych – „Człowiek wobec przyrody” i „Wieś pisząca”.

W styczniu 1975 roku powstał Klub Pracy Twórczej przemianowany w 1977 r. na Klub Myśli Twórczej. Na jego gruncie w 1993 r. stworzono Klub Myśli Twórczej „Lamus”. Klub skupiał literatów i artystów z Ziemi Lubuskiej, wydawał pismo literacko-artystyczne „Lamus” (redaktor naczelny Tadeusz Zaborowski, od 2000 r. Eugeniusz Wiczorek), organizował promocje książek i wieczory poetyckie pod nazwą „Czwartki Literackie” oraz spotkania z pisarzami „Swego nie znacie”, których moderatorem jest Krystyna Kamińska. Członkami KPT, a później KMT „Lamus” byli m. in.: Krystyna Kamińska, Edward Dębicki, Kazimierz Furman, Jan Gross, Bogdan J. Kunicki, Ludwik Lipnicki, Marian Łazarski, Zdzisław Morawski, Witold Niedźwiecki, Florian Nowicki, Alfred Siatecki, Jerzy Szalbierz, Ireneusz K. Szmied i Tadeusz Zaborowski.

Literaci zrzeszeni w GTS-K od 1976 r. działali już pod nazwą Klubu Literackiego Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, które z kolei powołane zostało z inicjatywy Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Gorzowie Wlkp. Klub zrzeszał blisko 30 osób z terenu województwa gorzowskiego. Prezesami klubu byli: Florian Nowicki (do 1984) i Zdzisław Morawski (1984-1992), a do grona członków należeli m.in.: Beata Ananiewicz-Szmied, Piotr Bukartyk, Zenon Cichy, Czesław M. Czyż, Bernadetta Doberschuetz, Kazimierz J. Furman, Jan P. Grabowski, Jan Gross, Kazimierz Jankowski, Romana Kaszczyk,

Ludwik Lipnicki, Władysław Łazuka, Wiesława Michalak–Miłkowska, Eugenia Modelewska, Zdzisław Morawski, Dariusz Muszer, Florian Nowicki, Janusz Olczak, Józefa Pawłowska, Nina Pawłowska, Stanisława Plewińska, Maria Przybylak, Aldona Robak, Elżbieta Skorupska–Raczyńska, Wojciech Sroczyński, Barbara Trawińska, Teresa Wilczyk, Marzena Zielonka i Ryszard Zuj.

Ważną inicjatywą GTK była kontynuacja wydawania indywidualnych tomików poetyckich, przeważnie debiutanckich. W 1979 r. ukazał się zbiór fraszek J. Grossa „Z przymrużeniem oka”, rok później zaś arkusze poezji „Kształcenie pamięci” K. Furmana, „Drzwi otwarte” N. Pawłowskiej, „Tamto wszystko za tobą” W. Łazuki, „Polimer granulowany” M. Przybylak i „Wyciszenia” B. Trawińskiej. W 1981 r. w oficynie GTK ukazały się także zbiorki wierszy „Kłosy” S. Plewińskiej i „Dotknięcie mroku” J. P. Grabowskiego (krótko przebywał w Gorzowie), w 1982 r. – „Strofy o dzierzawie” Z. Morawskiego, „Szukanie czerwieni” W. Michalak i „Okolice skwierzynne” J. Olczaka, a w 1983 r. – „Apelacja” K. Jankowskiego, „Z bieli i czerwieni” F. Nowickiego i „Czytanie z natury” W. Łazuki. W 1984 roku ukazują się tomiki poetyckie Cz. M. Czyża „Tak się dziś wierszy nie pisze” i B. Ananiewicz-Szmidt „Miasteczko B.”, w 1985 r. – P. Bukartyka „Gwoździe”, N. Pawłowskiej „Ja po raz drugi” i T. Wilczyk „Powroty”, a w 1987 r. E. Skorupskiej „Nim dojdę”, D. Muszera „Zatrzymane wersy”, „Posilenie” B. Doberschuetz i wspólny arkusz „Wiersze” E. Modelewskiej i J. Pawłowskiej. W latach 1988–1989 ukazują się jeszcze zbiorki poetyckie R. Kaszczyca „Dziennik liryczny”, K. Furmana „Drzewo grzechu” i K. Jankowskiego „Napięta struna czasu”. W 1985 roku ukazał się pierwszy gorzowski almanach poetycki „Nauka tańca”, wydany przez GTK, a zawierający wiersze głównie członków gorzowskiego Towarzystwa. Łącznie w latach 1979–1988 w ramach Biblioteki Literackiej GTK ukazało się 30 książek, w tym aż 16 debiutanckich tomików poezji.. Klub Literacki GTK przestał istnieć w 1992 r.

Także w 1976 r. reaktywowano jeszcze Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Gorzowie Wlkp., który funkcjonował przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, a więc w okresie kiedy ogniwa KKMP przeżywały swój renesans, jak np. ośrodek zielonogórski KKMP. W zebraniu założycielskim gorzowskiego ośrodka uczestniczyło blisko 40 osób, co świadczy, że w tym okresie zapotrzebowanie społeczne na działalność literacką było ogromne. Gorzowski KKMP przez cały czas swego istnienia w drugiej połowie lat 70. zrzeszał około 30 osób z terenu województwa gorzowskiego. Klub ogłosił w 1976 r. konkurs jednego wiersza. Działalność klubu w Gorzowie Wlkp. zamarła po 1979 r. Oficjalnie ośrodek KKMP w Gorzowie zlikwidowano w 1981 r., tj. po ogłoszeniu stanu wojennego. Gorzowski KKMP nie wydał jednak żadnej publikacji, jak miało to miejsce w Zielonej Górze, kiedy w 1978 r. wydano członkom klubu almanach poetycki. Przewodniczącym gorzowskiego ośrodka KKMP w latach 1976–81 był Tadeusz Zaborowski, natomiast członkami m. in.: Czesław M. Czyż, Kazimierz J. Furman, Eugeniusz M. Konieczny, Władysław Łazuka, Florian Nowicki i Wincenty Zdzitowiecki.

Jedyny istniejący na Ziemi Lubuskiej Klub Robotników Piszących założony został w Gorzowie Wielkopolskim przy Zakładach Włókien Chemicznych „Chemitex-Stilon”, również w 1976 r. z inicjatywy Marii Przybylak. Klub działał w Zakładowym Domu Kultury „Chemik”. Członkowie gorzowskiego KRP szybko nawiązali współpracę z Warszawskim Klubem Robotników Piszących i Centrum Literackim „Gremium” w Warszawie oraz z Gorzowskim Towarzystwem Kultury i Wojewódzką Radą Związków Zawodowych w Gorzowie Wlkp. Wraz z tymi organizacjami KRP zorganizował Gorzowskie Spotkania Młodych Poetów w 1977 i 1978 r. oraz Gorzowskie Konfrontacje Poetyckie w 1979 r., podczas których przeprowadzano Turnieje Jednego Wiersza. W imprezach gorzowskich szeroko brali udział studenci z Zielonej Górze, m.in. klub „54”, Klub Początkujących Literatów przy ZLP oraz członkowie KKMP. Członkowie Klubu publikowali głównie w prasie lokalnej i gazetach zakładowych – „Stilonie” i miesięczniku „Gorzowska Przemysłówka”. Klub istniał do 1980 r., tj. do chwili powołania ogólnopolskiego Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Członkami Klubu byli głównie pracownicy „Stilonu”, m. in. Maria Przybylak, Kazimierz Jankowski czy Zenon Cichy, będący zarazem członkami GTK.

Lata siedemdziesiąte były niezwykle udane dla grona gorzowskich autorów; można je nawet nazwać „złotymi”, bowiem obfitujące były nie tylko w wydarzenia kulturalne, wydawnicze, ale także w nagrody artystyczne. Za działalność literacką Nagrody Gorzowskie otrzymali wówczas: J. Olczak (1977), I. Dowgielewicz (1978), B. Wajs–Papusza (1978) i Z. Morawski (1980), Nagrodą GTS–K w 1975 r. wyróżniono Z. Morawskiego, który otrzymał także nagrodę Ossolineum (1970), natomiast Nagrody wydawnictwa LSW otrzymał J. Olczak w 1972 i 1974 roku.

dr Robert Rudiak

(dokończenie w następnym numerze)

Moja nadzieja

Jakbym Cię żłobił w wodzie
jakbym Cię z wiatru i dymu
chciał przywołać
jakbym Twój cień
paznokciami ze ściany zdrapywał

Jesteś moją śnieżną nadzieją
pustką wtuloną w ramiona
śniegiem którym się grzeję

Morze nas wypłuło

Jakby się wyrzekło

Język fal spienionych
Chłoczce martwe brzegi
By cofać się później
Gdzie ławice śledzi
Zasnęły wpatrzono
W zimny błękit nieba
I srebrzą się w sieci
Złocistych promieni

Leżę przytulony
Do miliarda ziaren
Ślad który żłobiłem
Zamazala fala
Wiatr odciska freski
Na piachu i wodzie
Patrzę jak pulsuje
Jak kurczy się morze
Pomarszczone obdarte
Z gniewu Posejdona
Łowisko
Szlak wodny

Nigdzie nie wyruszę
Będę karcił mewy
I słuchał ich śmiechu
Kości złożę w piachu
Wędrując bez celu

Tam po drugiej stronie
Nie ma już Itaki

Adam Korzeniowski

Nauczyciel w Lipkach Wielkich, mieszka w Gościmiu. Członek Grupy Literackiej „Wiązało” przy Stow. Twórczym „Wena”. Wydał tomik poezji pt. „Wiersze osobiste”. Z sukcesami zajmuje się również fotografią artystyczną.



Barbara Trawińska

dziś i jutro

w lewo – już było
w prawo – dopiero
byle nie wspak i nie
zadeptać ścieżek do
kapliczek i strzech
ocalić komnaty

czas defilad minął
epidemia
– ogarnęła sumienia a
na cmentarzyskach
– w miejsce drzew
srebrnikami
brukuja autostrady

nieruchome głowy gadają
byle zapętlić ład
trendy zacierają obyczaje
bohaterowie odchodzą

a jutro
może stać się
– ostatnim dniem jeśli
Mądrość nie powie
N I E !

na opak

kim jest ten poeta
co wadzi się z Bogiem
– Nietzsche fascynuje go
więcej niż sutanna

kim jest ta kobieta
– nie pamięta że
została matką ogniska
na drugim piętrze

kim jest syn który
miał być nadzieją a
zatrzasnął drzwi
– ty jesteś dorosła i
wszystko musisz sama

kim jest ten co miał
służyć poetom i Kalliope
– zapatrzył się w lustro

przed świtem

październik
wczesny ranek w
świątyni drzew
– jeszcze ciemno

świt
leniwie wyłania kontury
tylko wiatr
pastwi się nad
– gałęziami jakby
przynagłał
– już czas
– ziemia czeka

nim mróz
zaściele ją liśćmi i
zasypie śniegiem

zaszeleści refleksją

spóźniony erotyk

czas się zatrzymał
zawrócił i
zawołał na mnie
– dokąd ci spieszno
kobietko

tam
– jeszcze zdążysz

jednego marzenia nie
spełniłaś mimo
– miłość nie jedną

morze
dyszy przypląwem
i po zachodzie
składa wyznanie
– na piasku

Barbara Trawińska

Urodziła się 30. VI. 1938 r. w Wągrowcu. W Gorzowie mieszka od 1945 r. Wiele lat pracowała w kulturze. W 1977 r. debiutowała wierszem w „Nadodrze”. Członek ZLP od 1994 r. Wydała tomy poezji – wszystkie w Gorzowie: „Wyciszenia” (1980), „Postarzał się czas” (1992), „Maluję popiołem ognia” (1992), „Ogrody codzienności” (1999).



Marek Grewling

Wiek niewinności

Jak dobrze,
że jestem taki
dziecinny,
że nadal
naiwnie wierzę
we wszystko
w co dawno
powinienem przestać wierzyć

nie zrażają mnie
błędy logiczne
w dowodzeniu
ważnych prawd,
które dawno
okazały się kłamstwem

jak dobrze,
że jestem taki
naiwny

choć co dzień
widzę szyderstwo
bezczelnych oczu
obcych ludzi
– mówią mi,
że niepotrzebnie
tak się angażuję...

kobiety mówią,
że moja miłość
jest im obca
– proponują inne
rozwiązania...
i odchodzą

przyjaciele
no tak – zapomniałem
nie mam przyjaciół

za to wrogowie
– najwierniejsi bracia
zawsze są w pobliżu

dobrze, że nie dorosłem
do nich wszystkich

nie szkodzi

mieszkam sam
w takim ogrodzie,
który kiedyś
nazywał się
Eden

ludzie wyprowadzili się
z niego

– dzisiaj eden
jest mój.

Gdy pisze się o sacrum

Poezja Jerzego Hajdugi

Twórczość poetycka Jerzego Hajdugi wpisuje się w rozległy obszar współczesnej poezji, tworzonej przez poetów-kapłanów. Choć, jak można sądzić, ujęcie takie skazuje „poezję kapłańską” na bycie literaturą dość hermetyczną, to jednak zakres poruszanych przez tego poetę tematów i motywów jest bardzo szeroki. Oczywiście nie sposób rozpatrywać i interpretować tej poezji bez autobiograficznego kontekstu – powołania kapłańskiego, które tak naprawdę jest określonym zakorzenieniem duchowym.

Poezja ks. Jerzego Hajdugi nie poddaje się łatwym opisom i analizom, skutecznie wymykając się jednoznacznym formułom i propozycjom interpretacyjnym. Tomik „Rozerwanie nieba” będący wyborem wierszy z poprzednich publikacji, daje przekrojowe spojrzenie na teksty poety. Są w nim zarówno wiersze osobiste, przepełnione tęsknotą za matką („Mama zmarła”), jak i obecnością w obliczu Boga:

*Wiem o Panie
często Ci wstyd
za mnie
ze wstydu
chowasz
twarz
na ołtarzu
w moich
dłoniach
w moich
palcach
trzcinie nadłamanej (s. 13).*

W wielu wierszach widać, że autor stara się nawiązać dialog z czytelnikiem, że odnajduje tematy wspólne dla wielu ludzi, jak choćby w wierszu „Romeo” (s. 23). Ciekawe wiersze, to również te dotyczące aktu tworzenia, opowiadające o sytuacji powstawania poezji, jak ten oto wiersz:

*wiersze moje
napisane i nienapisane
na papierze i w powietrzu
wiersze moje drzewa
na moment
przed zdradą
swoich liści
na wiarę w gałąź
zieloną.*

Hajduga jest mistrzem miniatury. W sposób zwięzły oddaje stany ducha, impresje chwili. Napawają one czytelnika wzruszeniem. Pisał o tym również Piotr

Urbański: *W wierszach Hajdugi odnajduję (...) dyskretnie wzruszenie, którego mistrzem był Horacy. Odróżnia ono Hajdugę od wielu piszących duchownych, często niepewnych swoich emocji, obawiających się ich werbalizacji, a zwłaszcza nie bez trudności poszukujących języka, który mógłby je wyrazić. Rzeczywiście poeta problemów z językiem nie ma. Widać, że posiada on dar słowa, że słowa przychodzą mu łatwo, a co najważniejsze, równie łatwo się te słowa czyta. Tom „Rozerwanie nieba” polecam tym bardziej, iż miniaturowe krakowskie wydanie jest miłe dla oka i dłoni.*

Beata P. Klary

Jerzy Hajduga – Miniatury

zazdrościsz tyłu przyjaciół
to tylko płaszcze
na jednym wieszaku

gdy jest zima
mój brat nakłada na twarz kominiarkę
śnieg go nudzi

boję się rzeki pod mostem
woda wyciąga brudy

przed oczami łzy
rozciągają się jak przecinki
gramatyczny oddech naszych ciał

podobno wiersz może mieć
pretensję do poety
jestem zdumiony

Beata IGIELSKA – nauczycielka języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Skwierzynie, założycielka i opiekunka Małej Akademii Literatury, której uczniowie od kilku lat odnoszą sukcesy w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach literackich dla młodzieży szkolnej. Redaktor wielu antologii poetyckich i miesięcznika „Okolice Skwierzynie”.

Laureatka wielu ogólnopolskich i regionalnych konkursów literackich, w tym dwukrotnie I nagrody za opowiadania w XI i XII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Z. Morawskiego.



Nowe wiersze poetów gorzowskich

Beata Igielska

Odyseusz

gdy wypływał
nawet nie przypuszczał
że dołączy do kolekcji
archetypów
toposów
symboli

miał tylko

wypełnić obowiązek
a potem tą samą drogą
na czele floty
wrócić do syna i żony

gdy samotny i biedny
jak mysz kościelna
postawił stopę
na ojczystej ziemi
myślał że nic się
nie zmieniło

ale zmieniło się wszystko
z wyjątkiem miłości
Penelopy

Penelopa

tęsknota
chyba nie boli
myślała naiwnie
zanim odpłynął

potem
w bólu
niańczyła Telemacha
a gdy zasnął
bezglóśnie płakała
w poduszkę
bała się sennych
koszmarów
i samotności

gdy wrócił
długo nie mogła
uwierzyć
że jeszcze jest
kobieta,

nie tak nie boli
jak rozłąka
i niepewność
szepiała mu
nie wiedząc
że wkrótce morze
znów się o niego upomni

Każdy idzie do nieba

książkowy debiut Agnieszki Moroz

Mam przed sobą tomik wierszy Agnieszki Moroz „Każdy idzie do nieba” zawierający 54 wiersze. To debiut książkowy poetki z Gorzowa Wielkopolskiego. W tym miejscu należy jeszcze dodać, że niektóre jej wiersze zostały nagrodzone na konkursach poetyckich, a także opublikowane w antologiach. W „Czterech pytaniach do Agnieszki” zamieszczonych w książce zamiast posłowania, autorka mówi: *Poeta w każdym wierszu pozostawia jakąś część siebie i musi liczyć się z tym, że czytelnicy poznają dzięki temu jego świat wewnętrzny. Osobiste emocje zostają obnażone i poddane analizie odbiorcy, zupełnie tak, jakby mógł on oglądać pod światło duszę twórcy rozbitą na drobne, kolorowe szkiełka. Czasami próbuję od tego uciekać.*

I tak jest w rzeczywistości. Poprzez kolejne wiersze poznajemy postać Moroz. Jej „ja” jest wyraźnie w wierszach zaznaczone, jest ich immanentną częścią.

Sporo wierszy zawartych w tomiku dotyczy uczuć istniejących pomiędzy kobietą a mężczyzną. Są nasycone dyskretnym erotyzmem, budowanym na różnych odmianach przeżytej miłości i tęsknoty do niej. Budowanym na niepokojach:

*Otulasz mnie iluzją ciepła
obiecujesz czekać
a kiedy wspinam się na samą górę
opadasz już daleko w dół*
(Wiersz bez tytułu s. 16)

rezygnacjach:
*A ja wiedziałam
że będzie tak zwyczajnie
z fiołkami
pośród grających traw
strojnych deszczem*
(Wiersz bez tytułu, s. 11)

pretensjach:
*Opadamy
pościel miękko tłumi
i nie myślimy
wsluchani w echo zdań
przypadkowo zapamiętanych
wołamy sen
– nie przyjdzie;*
bajkowych pragnieniach:
*Wtedy drżące uspokoisz włosy
białą chustką podasz
powiesz
tak długo cię szukałem...
I wśród zimnej trawy*

*jak postać z rycin starych
odjedziemy
w tajemniczy
nieprawdziwy mrok.*

(Wiersz bez tytułu, s. 10)

Dawnymi czasy Edward Stachura głosił, że wszystko jest poezją, a więc i wiersze poświęcone obliczom miłości. Ale w tego rodzaju poezji, bardziej niż w każdej innej, potrzebny jest umiar, aby nie wpaść na mielizny banału. Tym bardziej, że liryka miłosna młodych poetek jest nimi często naszpikowana. Agnieszce Moroz udało się szczęśliwie je ominąć.

Choćby w tym wierszu:

*Kiedy odejdziesz
zasnę
razem z myślą uleczę
pod niebo
a ono jak szkło
pęknie
błyszcząc światłem
na krawędziach*

(Jak mgła, s. 19)

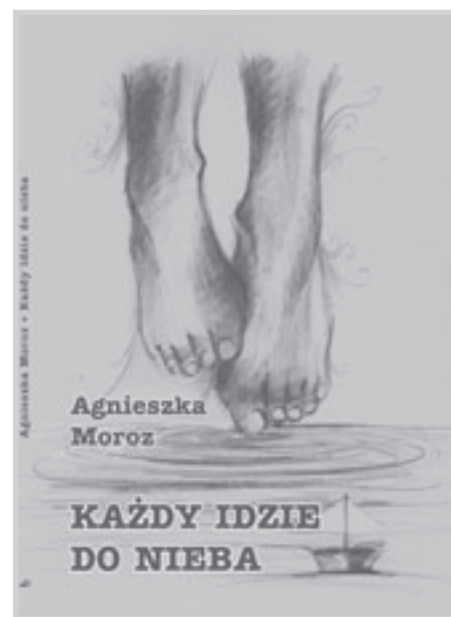
Wydaje mi się, że prezentowany wiersz bez tytułu, zamieszczony na początku tomiku, mógłby z powodzeniem zamykać cykl wierszy zawartych w części obejmującej lirykę miłosno-refleksyjną. Jest w nim bowiem zaakcentowane otwarcie autorki na świat uczuć, a właściwie jej przebudzenie i gotowość życia:

*Przebudzenie ...
zaczyna się zawsze bardzo cicho (s. 7)*

Bardziej przemawiają do czytelnika wiersze znajdujące się w rozdziale pt. „W biegu”. Zmuszają go bowiem do zastanowienia się nad sensem życia, nad zbytnim pośpiechem, nad ograniczeniami, jakie sam sobie stwarza. Zwłaszcza wiersz „Remedium” pokazuje, że nawet w betonowym świecie można żyć szczęśliwie. Trzeba tylko zmienić optykę, poszukać optymizmu. Ten wiersz ogromnie przypadł mi do gustu.

I choć czasami mam wrażenie, że niektóre wiersze powstały między jednym a drugim wykładem (autorka jest studentką), gdyż są momentami przegadane, to i tak należy jasno powiedzieć, że poezja Agnieszki Moroz zmierza właściwą drogą, co jest w tym wszystkim najważniejsze.

Beata Patrycja Klary



Remedium

Ludzie chodzą i mówią bez
ustanku
betonowy dom miasto
be-to-no-wy świat

Nie patrzą na trawy
w błękit nieba
szkoda im czasu...
A przecież
kiedy przychodzi noc
liście drzew śpiewają cicho
o deszczu
brzozy chodzą boso
z żywicą we włosach
niebo robi się srebrne
a rosa
budzi zaspane trawy

Wtedy stąpam cicho po korze
łąka pachnie miodem
a moje skrzydła
tańczą z wiatrem
aż do świtu

Agnieszka Moroz „Każdy idzie do nieba”. Wiersze, stron 68, Biblioteka Pegaza Lubuskiego nr 7, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenal”

Jolanta Pytel

Nie wiem po której stronie

Nie wiem, po której stronie
umieścił mnie los.

Urodziłam się w kraju, gdzie Wysokie i Niskie
miesza się ze sobą, tworząc krajobraz
Zniewolonych i Wolnych.

Pierwsze kroki stawiałam nieostrożnie
schody spadały śmiejąc się ze mnie.
Mój Ojciec czytał Platona i opowiadał o Sokratesie,
a ja śniłam o kolorowej piłce
do gry w dwa ognie,
o dalekich podróżach.

Sokrates śmiał się z moich rozmów z Ojcem,
Platon podsuwał nieprzyzwoite obrazy,
a Marks straszył widmem komunizmu.
W wytartym płaszczu, z wierszami w kieszeni
maszerowałam do redakcji "Nadodrza",
aby spotkać Poetów.

Ale Oni też nie wiedzieli,
po której są stronie.

Szpalty gazet pęczniały
od niewypowiedzianych słów,
a wiersze zamieniały się w kolorową piłkę
do gry w dwa ognie.

Pierwsza miłość przyszła w samo południe,
kiedy mój Ukochany zgubił okulary
i nasze ręce spotkały się niespodziewanie.
Czas nie sprzyjał miłości,
odeszła z ostatnim szkolnym dzwonkiem.

Czytałam zakazane książki
jak złodziej, ukradkiem –
między wykładem z teorii
literatury i metodyki nauczania.

Mężczyźni zjawiali się i odchodzili,
Zmieniały się pory roku.
Czas sprzyjał miłości,
w upalne lato stał się czasem macierzyństwa –
jak świeży oddech w zadymionym mieście,
jak konwaliowe dzwonki na pościeli,
jak płacz i śmiech,
jak nagły wybuch Wszechświata

w nabrzmiałych piersiach,
Pierwszy uśmiech, pierwszy ząb, pierwsze słowo
i pierwszy krok.

Cały świat był pierwszy,
i tyle ufności w dziecinnych pytaniach:
"Skąd się biorą dzieci"?

Nie wiem, po której stronie
umieścił mnie los ...

Ojciec odszedł cicho
– został poźółkłych kartek stos,
kilka fotografii.

Nie ma już Córki – miała dwadzieścia lat.
Nie ma już pytań ...

Wiersze nie przypominają kolorowej piłki,
choć gra w dwa ognie wciąż się toczy.

Naprawdę nie wiem,
po której stronie umieścił mnie los.

Ten wieczór o oczach umarłych poetów

Mam przed sobą zbiór poetycki wydany pod patronatem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze „Włócznia słońca” Jolanty Pytel. Książka wydana w 2003 roku, po wcześniejszych kilku tomikach, a zwłaszcza przedostatnim „Requiem dla Helenki” (1999), to wybór wierszy z kilku lat twórczości. Sama autorka wyraźnie opatrzyła wiersze datami powstania, ale nie skomponowała ich w tomie w układzie chronologicznym. Klucz jest zgoła inny. To swoiste zaprezentowanie własnego portretu poetyckiego, w którym od pierwszego wiersza dowiadujemy się, że ważną rolę odegrała i odegra w tym wyborze postać córki poetki: „Czy to ty, córeczko, czy wiatr porusza fałdy mojej sukni?” (Włócznia słońca, s. 5). Postać zmarłej nie będzie jednak prezentowana tutaj tkliwie, banalnie. O nie. W grę wejdą subtelne porównania: „rozsypują się pacierze po drogach jak lzy”, „okno rozchylone jak twarz” oraz metafory. Wiem, że jedni optują za metaforą w poezji, a inni są jej przeciwni. Należę do tych pierwszych, pod warunkiem, że użyte metafory nie są zbyt intelektualne, a przez to sztuczne. Jolanta Pytel używa ciekawych metafor: „zatrzaśnięte usta ziemi”, „czas potyka się o nasze nogi”, „na jej skrzydłach zawisła noc”. Poetka jest miłośniczką ogrodów. Poświęca im kilka tekstów. Jej ogród przybiera także formę kamiennego sadu. Ten motyw może być dla autorki elementem terapii – uporządkowaną harmonią w chaosie tragicznej codzienności. „Kwiaty sadzą w ogrodach i zakładają świąteczne ubrania” (Małe Miasteczka, s. 9);

„*Żółty liść w ogrodzie obudził
Mędrca z poobiedniej drzemki
Zdziwiony spojrzął w niebo
Mysząc, że to deszcz,*

Ale to była wiadomość

Od samotnych drzew” (Mędrzec i liść, s. 24);

„*W ogrodach Wieczności pies wita kolejnych gości”* (Upadek Muzy, s. 25).

Na drugim biegunie ogrodu pojawia się starość. Jest wszechobecna w wierszach Pytel. Stare są ulice, domy, psy, koty, a także ludzie „Staruszka wyjmuję szpilkę z włosów. Siwa kaskada połyskuje w słońcu” (Siedem miast, s. 16). Poetka spotyka również Starość we własnej osobie. Ta postać ją przeraża i zmusza do ucieczki. Ta postać zmusza poetkę również do wspomnień, zwłaszcza pięknych wspomnień o ojcu i jego losach: „Villingen, Baden Baden, Strasburg, Afental – miejsca kaźni mojego Ojca rozsypane jak koraliki na starych mapach” (Wspomnienie, s. 20). Starość zmusza również poetkę do podsumowań własnego życia, do jego analizy, czego dowód mamy w pięknym wierszu „Nie wiem po której stronie”.

Na koniec nasuwa mi się myśl trafnie sformułowana przez Stefana Pastuszewskiego: *Kto chce zrozumieć poezję, musi ją pojąć, bo poezji się nie rozumie, tylko pojmuje się ją w swoistym akcie olśnienia. Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że takie olśnienia można doznać czytając wiersze Jolanty Pytel z tomu „Włócznia słońca”. Mnie urzekła bowiem przede wszystkim dotykana przez autorkę kwestia śmierci zwanej przez piszącą „nieobecna obecność” i „obecna nieobecność”. Temat dobry na rozważania wieczorne. Na *wieczór o oczach umarłych poetów.**

Beata P. Klary

Krótką historia Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów

Najprężniej działającym stowarzyszeniem na Środkowym Nadodrzu w połowie lat dziewięćdziesiątych było założone w kwietniu 1995 roku w Zielonej Górze Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, które powstało z inicjatywy **Jolanty Pytel**. Stowarzyszenie skupiało początkowo kilkanaście osób. Wśród jego założycieli byli m. in. Katarzyna Jarosz-Rabiej, Agnieszka Haupe, Władysław Klępka i Urszula Zdanowska z ruchu RSTK oraz Agnieszka Kopańczyńska i Bruno Alesander z „Die Hülle”. Początkowo Stowarzyszenie kontynuowało formułę spotkań poetyckich, zapoczątkowanych w Klubie Dziennikarza „Pod Kaczką” przez sekcję literacką RSTK i część członków Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Spotkania poetycko-muzyczne organizowane przez Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów odbywały się w zielonogórskich kawiarniach artystycznych „Bar u Jankiela” i „Kawon”, następnie prowadzono je na Poddaszu Poetów w Regionalnym Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze. W spotkaniach uczestniczyli głównie pisarze wrocławscy, m. in. M. Bocian, U. Koziół, U. M. Benka i J. Markiewicz.

Od września 1995 roku Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów wraz z SPP i Polsko-Niemieckim Stowarzyszeniem Pisarzy Regionu Nadodrza było współorganizatorem imprezy pod nazwą „Statek literacki”, która odbywała się w miastach leżących po obu stronach Odry podczas Dni Zielonej Góry - Winobrania. Najgłośniejszym jednak przedsięwzięciem zielonogórskiego Stowarzyszenia było otwarcie Uniwersytetu Poezji, który zainaugurował swoje zajęcia w październiku 1995 roku. Rektorem Uniwersytetu Poezji został prof. dr hab. Czesław P. Dutka, a rektorem honorowym - prof. dr hab. Jan Kurowicki, pracownicy naukowcy zielonogórskiej WSP. W wykładach i zajęciach warsztatowych uniwersytetu uczestniczyło blisko sto osób z całego kraju. Wykłady prowadzili literaci i naukowcy z Zielonej Góry, Wrocławia i Warszawy. Uniwersytet Poezji ustanowił także własne nagrody literackie – „Srebrne Pióro Pegaza”, które otrzymali polscy laureaci literackiej Nagrody Nobla - Czesław Miłosz w 1997 r. i Wisława Szymborska w 1998 r. Nagrodami „Srebrne Pióro Pegaza” w 1998 r. uhonorowano także Janusza Stycznia z Wrocławia oraz poetów zielonogórskich - Krzysztofa Fedorowicza i Władysława Klępkę.

Dzisiaj SJŻP jest pozarządową organizacją artystyczną zrzeszającą poetów i miłośników sztuki, mającą na celu promocję poetyckiego środka wyrazu w różnej formie twórczości, także w filmie. Zarząd Główny Stowarzyszenia znajduje się w Zielonej Górze, a prezesem zarządu jest od kilkunastu lat poetka Jolanta Pytel.



Jolanta Pytel-Marciniszyn urodziła się 29 sierpnia 1952 roku w Zielonej Górze. Studiowała filologię polską z historią. Pracowała jako nauczycielka, bibliotekarka i dziennikarka. Obecnie jest prezesem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Debiutowała jako poetka w „Nadodrzu” w 1970 roku. Wiersze i prozę publikowała w licznych almanachach, prasie lokalnej i ogólnopolskiej. Wydała następujące książki: „Opowieść o Gabrieli” (1976), „Tyle światła wokół” (1978), „Oko śmierci” (1994), „Destiny” (w j. angielskim, naki. 50 egz. bibliofilski - 1994), „Przebudzenia. Awakenings” (w wersji polsko-angielskiej) (1995), „40 i cztery” (1996), „Czarna Apteka” (1999), „Requiem dla Helenki” (1999), „Włóczęgna słońca” (2003) – Lubuski Wawrzyn Literacki

Politycy

Tak często butni
o tępych gębach
i mózgach wypranych
obiecują postulują
napychają kieszenie
cudzymi krzywdami
pierwsi w rządach
i pierwsi w rządach
najedzeni napici
z obolałymi
od siedzenia dupami

* * *

A świat wciąż śmieszny
mimo swej tragedii
głównie przez polityków
co to rządzą nami
wyrrywają stołki
judzą obiecują
że gruszki na wierzbie
że druga Japonia
że po wyborach wszystko się odmieni
(a ludzie naiwni w to niekiedy wierzą)
chcą być niezwyčajni
stawiają więc domy wielkie jak fortece
kłóca się o centymetr między
w bankach składają wyprane dolary
kobiety choć zwiędłe
silikon wstrzykują w swe obwisłe piersi
dziewczyny z anoreksją marzą o wybiegach
młodzi z głowami na głace
wdmuchują w bicepsy nadmiar sztucznej siły
dorośli na szyldach stawiają magister
jakby to było choć trochę istotne
zaiste świat tragikomiczny

* * *

Kolejny poniedziałek czerwca
zielen słońce rosa
na ring jak co dzień
wypełzli młodzi i starzy
szpetni i piękni
bogaci i biedni
wszyscy sobie ważni
i tyle mają dziś do załatwienia
powiedzenia napisania
kupienia i wydalenia

jutro podobnie wstaną uwikłani



Jerzy Gąsiorek. Urodził się w 1941 r. w Granowcu. Ukończył UAM w Poznaniu i studia podyplomowe w UMK w Toruniu. Od 1980 do 2006 r. kierował Salonem Wystawienniczym BWA. Ma duże osiągnięcia zarówno we własnych dokonaniach plastycznych (specjalizacja: ansamblaż, rzeźba i architektura wnętrz) a także jako organizator zdarzeń plastycznych. Od 1984 r. Biennale Sztuki Sakralnej „Sacrum”. W 2001 r. ujawnił swój dorobek literacki w książce „Z szuflady wyjęte”. Dwie kolejne książki pt. „Perony łez” i „Dlaczego?” ukazały się w 2002 i 2003 r., a w 2005 r. – „Nie zastaniamy mi słońca”. Od czerwca 2004 członek ZLP. Publikował wiersze w kilku numerach „Pegaza Lubuskiego” i „Poezji Dzisiaj”

Natalia Pałczyńska

Ma 16 lat, uczy się w II Liceum Ogólnokształcącym w Gorzowie. Interesuje się biologią i chemią organiczną. Uwielbia rysować, pisać wiersze i zajadać rurki z kremem. Wiersze czyta i pisze odkąd nauczyła się czytać i pisać. Jej wiersze, jak mówi, rodzą się same. Przychodzą nawet w autobusie, czasem nawet na klasówkach... Nie wyobraża sobie, że mogłaby kiedyś przestać myśleć poezją. Jest ona dla niej czymś niezwykle ważnym: przenosi ją w inną, niż jej codzienna, rzeczywistość, dodaje skrzydeł. Z jej perspektywy ostrzej postrzega miejsca i ludzi.

Jest laureatką turnieju poetyckiego Klubu Poetów Okrągłego Stołu w GDK „O kwiat paproci 2006”. Mieszka w Boleminie gm. Deszczno.



Dwie twarze

I

drzące gwiazdy ci przybliżę
śmiech co mruczy niby kot
migoczące tęcze ptaków
tak beztrudnie jak ich lot

martwy kamień ci zamienię
w falujące sploty zbóż
bosą stopą przebiegniemy
krzesząc z mleczów złoty kurz

suchą gałąź ostre ciernie
przeistoczę w śpiewną nić
znowu będziesz mogła marzyć
znowu będziesz mogła śnić

okręt nasz o żaglach białych
pogna szlakiem siedmiu mórz
w piękne baśnie zamieniając
chmury – zwiewne córki burz

tylko podleg zblakłe kwiaty
wskrześ zamknięte w klatkach sny
okryj wrzosem ciała zmarłych
i raz jeszcze naucz żyć...

II

w moim wierszu nie ma rymów
motyli
poezji
ukwieconych łąk stylu

zabrakło czasu na objawienia
prawdziwą miłość
i naukę latania...

jest sąsiadka z trzeciego piętra
wybita szyba
chłopcy grający w nogę
i Jaś ministrant
co klnie jak szewc pod blokiem

nie ma polityków
o czystym sumieniu
trzeźwych nastolatków w bramie
ani Jezusów na ulicach

jest pies co ugryzł pana
teraz dynda jak pranie na sznurku
kot wegetarianin
cieć w niebieskim fartuchu

ojciec wracający z roboty
mężczyźni pochyleni nad puszką
matka ze szmatą w ręku
dziecko beczące na schodach

nie ma miejsca
na cherlawy optymizm
oscyloskop nie drga
na dźwięk kroków
przyjaźń?..tylko w Internecie
miłość?tylko fizyczna
serce?tylko bank organów
my?.....sami
.....tylko.....

w moim wierszu nie ma rymów
motyli
poezji
ukwieconych łąk stylu

mój wiersz uwielbia
urywać motylom skrzydełka...

przebudzenie

pierwsze wyciągają się w górę
siwowłose kominy fabryczne
puszczają na świat
pierzaste chorągwie
chmury stworzone przez człowieka

zaraz potem wśród firanek
zeschłych liści
zakwitają ptasie dzioby
później na niebo wbiegnie słońce
z rozpiętą na piersi koszulą
i zakłopotaniem na pyzatej twarzy
- najbardziej spóźnialski
z wszystkich robotników

szare płyty z betonu
szepczą rytmem kroków
sygnalizacja pulsuje życiem

ponad dachami kamienic gołębie

skrzydlaci dzwonnicy
porywają, splekane dzwony
kościółków do tańca

pośrodku tego zgiełku
w ceglanych ogrodniczkach
i niebieskim kasku stoi majster
katedra
mierząc wszystkich wzrokiem

dom

poznałam nowego kolegę
od razu chciał się ze mną bawić
i tak zaczęliśmy zabawę w życie:
był więc DOM – taki prawdziwy
z firankami w oknach
i gołębiami na dachu
był TATA żeby chodzić do pracy
była mama żeby zająć się DOMEM
DZIECKO żeby być dzieckiem
i PIJAK z sąsiedztwa
– żeby pić

TATA wcześniej wstawał
prawie nie było go w DOMU
MAMA gotowała mu obiad
i nigdy nie miała czasu
PIJAK pił i dobrze mu było
wszystkich pochłonięły obowiązki
i nie miał kto zająć się DZIECKIEM

tylko DZIECKO wiedziało
że wszystko jest na niby
rodzina
dom
i gołębie na dachu

aż pewnego dnia dorosło
NAPRAWDĘ

dziecko

dziecko nie zawsze
ma drobne w kieszeni
zamiast tego nosi garść kamyków
nie stać go na lody czy uśmiech
tylko na łzy nigdy nie braknie
płakać można do woli

Małgorzata Prusińska

Wojna

Dłoń tęskniącej kobiety

dłoń tęskniącej kobiety
traktuje ciało
po cichu i delikatnie

z wysokości dotyku
czeka ciężko
na słowach
jakby czuła jutro
pod palcami

często wilgotna i słona
uczy się śnić go
w strachu że przecież
można zapomnieć

dłoń tęskniącej kobiety
rozebrana do reszty
piąstka bezsenności

21/9/05

Nareszcie

cisza nareszcie taka zapadła
że jakby nas już nie było

gubimy dłonie
w pejzażu zimowym
tak dobrze nam dziś
kochanie

prości już bardziej
być nie możemy
niż stół ten
przykryty obrusem
powietrze stojące
jeszcze ogłupiałe

czas tu przysiada
jak osad z herbaty
i palce wykrzywia
nam do czułości

a dłonie same
leją się z poszwy
i ciało płynie
do ciała

i nie ma końca
chyba
ten spokój nieboży
nareszcie cisza taka
zapadła

31/10/2005

jeśli przed nami wojna
to dokąd pójda dzieci
dzieci naszych dłoni
i prześcieradeł
białe zabrudzone
noski kopertowe

jeśli dzisiaj przyjdą po nas
co zrobimy
z pogubioną bielizną
niewyprasowaną
listą rzeczy
do zaczęcia

znów się podzieją
wszystkie możliwości
a cisza tupocąc
z wypiekami
powiedzie nas
na zewnątrz

a ja się pytam
gdzie ta obietnica
co zwykła szeptać
jeszcze z rana
i chować dłonie
we włosach

nie zdążyliśmy nawet
dobrze się poszukać
a ciebie nie ma
kochanie
w poduszkach
ani w kocach

jeśli wojna się zaczęła
niech żyje czas nasz
wspólny i odległy
póki łapiąc nas za dłonie
nie stanie
pośrodku drogi

7/10/2005

Książka poetycka Małgorzaty Prusińskiej pt. „Noc jest bezwstydną” została wyróżniona za najlepszy debiut 2005 r. przez kapitułę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Monika Kaczmarek

chcę siebie nową

przetrzyj mnie skórą
mnie-szkiełko
dłonią
która się nie boi
że świat zaśpiewa zielenią

zaparowałam
i rozprysłam
milionem kapryśnych momentów
dźwięków zapachów fotografii

mnie z anemią
paranoją
na każdy nowy
z kawą
i drżącym tytoniem
obiecałeś
rozkruszyć
i zbudować

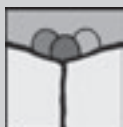
spod twoich linii papilarnych
z falistości tęczy
chcę siebie nową
a z dwóch ramion
prywatną kryjówkę siły

Aga Kłak

Elektroniczna miłość

Scaleni jednym łączem
wpatrzeni w monitor
miłość od pierwszego kliknięcia.
Kilka czułych słów
ona zmysłowym dotykiem
pieści klawiaturę
on nigdy nie poczuje
na muskularnym ciełe
jej rozpalonych
w solarium policzków
tysiąc megabajtów kochania
bez świec i prezerwatyw.

PEGAZ LUBUSKI. Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nacz. Ireneusz K. Szmidt, z-ca red. nacz. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Grażyna Kostkiewicz, Krystyna Kamińska, Wydawca: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, skład komputerowy Paweł Marchwiński 0 511 997 611.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



O polityce i politykach

Liczny zastęp

Mamy zastęp wciąż dość liczny
impotentów politycznych.

Były prominent

Choć stracił twarz, nie chodzi pochmurny.
Świetnie się nadaje na surowiec wtórny...

Spowiedź polityka

Chętnie każdą klikę gromię,
gdy nie znajdę się w jej gronie.

Definicja

Niejeden polityk, zanim władzy liźnie,
winien się zaszczepić przeciwko wściekliwości.

* * *

Polityk – to słowo jest tak pełne treści,
że każdy epitet w nim się łatwo zmieści.

Transformacja

Dziwnej demokracji jesteśmy już bliscy:
przedtem kradła komuna – teraz niemal wszyscy!

Strzałą amora

Twierdza cnoty

Po zmasowanym ostrzale Amora,
wreszcie jest do poddania skora...

Do apetycznej babki

Wciąż mam nadzieję,
że cię nadzieję.

* * *

Amor ustrzelić nic nie jest w stanie,
kiedy, doprawdy, pusto w kołczanie.

* * *

Czasami strzała z Amora łuku
na cały globus narobi huku.

Inteligencja

Stopień inteligencji powinno się badać tylko u tych,
u których jej się nie wyczuwa.

Złośliwość jest miarą inteligencji.
Jakże inteligentni muszą być ci, którzy nawet to potrafią ukryć.

Myśl

Marzenie myśliciela: nauczyć się czytać
w cudzych myślach.

Myślny – przyszłością narodu!

Politycy i polityka

Ferment, który nam towarzyszy, to klarowna rzeczywistość.

Politycy wszystkich krajów – (wy)łączcie się!